NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Prenumeratę przyjmuje W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie: za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. Kraków, 8 kwietnia 1916. Nr. 15.

Szlakiem bojowym Legionów.



Brama wjazdowa w siedzibie III. Brygady. (Obraz chorążego W. Wodzinowskiego na Wystawie Legionów w Krakowie).

Szlakiem bojowym Legionów.

W ślad za walecznymi szeregami naszych Legionistów, pospieszyli na pole walki korespondenci i artyści. Obfitym plonem działalności pierwszych są nie tylko opisy, ale i liczne fotografie, które są niewątpliwie najautentyczniejszym dokumentem obecnej wojny. Każdy nasz numer przynosi szereg tych zdjęć, illustrujących walki i życie obozowe w polu. Aparat fotograficzny oddaje niewątpliwie dla historyi tej największej w dziejach wojny nieocenione usługi.

Ale i artyści nasi oddali swoj talent na usługi tej „osobliwej chwili“. Wymownym tego dowodem jest wystawa Legionów w krakowskim Pałacu Sztuki, o której pisaliśmy w poprzednim numerze. Przyniosła ona szereg dzieł sztuki, związanych najściślej z życiem i walkami naszych Legionów. — W uzupełnieniu zamieszczonych w poprzednim numerze fotografii z tej wystawy, dajemy w dzisiejszym numerze reprodukcye dwóch obrazów znanego artysty-malarza, chorążego W. Wodzinowskiego, przedstawiających podziemne mieszkania i bramę wjazdową w siedzibie III. brygady Legionów polskich.



Józef Piłsudski w Krakowie: Brygadyer Piłsudski z swym adjutantem przechodzi obok szpaleru Legionistów przed gmachem Towarzystwa Sztuk Pięknych.

Józef Piłsudski w Krakowie.

Po raz pierwszy od wybuchu wojny Kraków witał uroczyście w swych murach brygadyera Piłsudskiego, który przez kilka dni gościł w grodzie podwawelskim. W dniu 28. zeszłego miesiąca brygadyer Piłsudski w towarzystwie adjutanta Długoszowskiego odwiedził komendanta twierdzy, ekscellencyę Karola Kuka, a następnie odbyło się przyjęcie brygadyera w N. K N. przy ulicy Gołębiej pod liczbą .0. Wszystkie sale, oraz klatka schodowa udekorowane były kwiatami, salę zebrań Ligi kobiet ozdobiono liściami wawrzynowymi. W biurze prezydyalnem N. K. N. na II. piętrze oczekiwali przybywającego brygadyera wszyscy członkowie krakowscy N. K. N. z prezesem drem Jaworskim. Brygadyer Piłsudski, powitany serdecznie przez prezesa dra Jaworskiego, podziękował za serdeczne słowa uznania i powitania, rozmawiał z zebranymi członkami N. K. N., a następnie zwiedził biura N. K. N. Następnie udał się do pięknie udekorowanej sali Ligi kobiet na I. piętrze. Wchodzącego brygadyera powitała prezesowa krakowskiego Koła Ligi kobiet, pani profesorowa Zakrzewska i wręczyła mu pamiątkowe album wojsk polskich Bronisława Gemba-



Józef Piłsudski w Krakowie: Powitanie brygadyera Piłsudskiego w lokalu Ligi kobiet.



Józef Piłsudski w Krakowie: Brygadyer Piłsudski opuszcza Wystawę Legionów w Pałacu Sztuki.



Wojna w Polsce: Ocalała część rynku miasta Hrubieszowa w Królestwie Polskiem.



Wojna w Polsce: Zgliszcza zabudowań, spalonych w Hrubieszowie przez cofające się wojska rosyjskie.

rzewskiego, podpisane przez wszystkie członkinie tego Koła. Dziatwa obsypała brygadyera kwiatami. Po powitaniu odbyło się staraniem Ligi kobiet śniadanie, w którem wzięli udział także obecni w gmachu członkowie N. K. N. oraz grono pań z Ligi.

Dnia następnego popołudniu brygadyer Piłsudski zwiedził wystawę Legionów w gmachu Towarzystwa Sztuk Pięknych na placu Szczepańskim. Publiczność jeszcze przed godziną trzecią spieszyła tłumnie na wystawę, przybyły zwłaszcza bardzo licznie panie krakowskie, grupujące się w Lidze kobiet N. K. N. Westybul gmachu wystawy wypełniony był szczelnie czekającą publicznością, która chciała zobaczyć brygadyera. W bramie gmachu oczekiwali przybycia



Szlakiem bojowym Legionów: Przed kwaterą komendy trzeciego pułku Legionów.



Józef Piłsudski w Krakowie: Brygadyer Piłsudski na wystawie Legionów.

p. Piłsudskiego członkowie Komitetu wystawy, nadto grono członków N. K. N. z prezesem dr. W. L. Jaworskim. Na schodach przed bramą gmachu tworzyli szpaler ustawieni w dwóch rzędach Legioniści.

O godzinie trzeciej przyjechał powozem brygadyer w towarzystwie swojego adjutanta. W bramie przywitał go w serdecznych słowach prof. dr. Mycielski. „Przybywasz, Czcigodny Komendancie, do najmłodszego przybytku polskiej sztuki — mówił prof. Mycielski — aby zobaczyć, co dały sztuce Legiony, a sztuka Legionom. Spodziewamy się, że tutaj w towarzystwie twoich ukochanych podwładnych i żołnierzy twoich będziesz się czuł swojsko, jak u siebie". Brygadyer Piłsudski udał się wśród szpaleru do sal wystawowych i oprowadzany przez prof. Mycielskiego i rotmistrza Kossaka oglądał szczegółowo wszystkie obrazy i portrety. Na wystawie spędził brygadyer blizko godzinę.

Z wystawy udał się brygadyer do herbaciarni Legionistów w Rynku pod l. 45. Zebrani w sali Legioniści przyjęli go śpiewem „marsza Piłsudskiego", poczem jeden z nich zawołał: „Cześć! Niech żyje brygadyer Piłsudski!" Okrzyk ten powtórzyli z zapałem wszyscy zebrani goście, a przewodnicząca komitetu herbaciarni, pani Barańska, powitała serdecznie brygadyera i wręczyła mu bukiet z kwiatów. Następnie wziął udział brygadyer w skromnem przyjęciu w herbaciarni i na rozmowie z Legionistami oraz pracowniczkami w tem schronisku spędził tam dłuższy czas.

Zakończeniem uroczystości było przedstawienie w teatrze miejskim imienia Słowackiego, urządzone ku czci brygadyera Piłsudskiego. Sala teatru zapełniła się do ostatniego miejsca doborową publicznością krakowską. Między innymi przybyli na uroczysty wieczór członkowie prezydyum miasta, grono radców miejskich, członkowie krakowscy N. K. N., przedstawiciele prasy miejscowej, bardzo liczne grono pań z Ligi kobiet. Na sali widać było wiele polowych mundurów Legionistów. Westybul i klatkę schodową w gmachu teatru udekorowano zielenią; loża na I. piętrze, przeznaczona dla brygadyera i jego rodziny, ozdobiona była bogato kwieciem i emblematami o barwach narodowych. W westybulu panie, grupujące się w Lidze kobiet N. K. N., sprzedawały programy, oraz kwiaty na dochód funduszu imienia Józefa Piłsudskiego. — Publiczność teatralna oczekiwała brygadyera w westybulu gmachu; skoro się zjawił ze swoim adjutantem, panie wręczyły mu piękny bukiet, a zebrani powitali go okrzykami.



Odsłonięcie „Rycerza w zbroi" we Lwowie: Posąg rycerza, dłuta p. Nalborczyka, przeznaczony do wbijania gwoździ. (Fot. M. Münz, Lwów)

Przedstawienie zaczęło się odegraniem pierwszego aktu z „Nocy Listopadowej" Stanisława Wyspiańskiego. Potężne wezwanie do czynu, do ukrócenia granic krzywd naszych, przepojone wiarą niezłomną w zwycięstwo, w przyszłe losy ojczyzny, ujęte w jędrne słowa Wyspiańskiego, brzmiało niezwykle aktualnie w dzisiejszej „chwili osobliwiej", jako prorocza pobudka do tych czynów, które się obecnie rozgrywają...

Wspaniałą ozdobą wieczoru był występ znako-



Na wschodnim froncie: Obóz w lesie.



Kompan'a rekonwalescentów „krakowskich dzieci": Grupa żołnierzy z komendantami na czele.

mitej artystki p. Ireny Solskiej, która z ekspresyą i siłą oddeklamowała wyjątek z „Pana Tadeusza": Koncert Jankiela.

Pani Stefania Długoszowska, znana publiczności krakowskiej śpiewaczka, odśpiewała kilka piosenek Chopina i Moniuszki.

Wieczór zakończono odegraniem wyjątku z „Kościuszki pod Racławicami", mianowicie „Przysięgi" na Rynku krakowskim, która niezwykle trafnie odpowiadała nastrojowi uroczystego wieczoru i publiczności na widowni. Silniejsze słowa chwytały za serce, elektryzowały widzów. To też, kiedy na scenie ukazał się Tadeusz Kościuszko (grał go bawiący chwilowo w Krakowie p. Ludwik Solski), ażeby złożyć przysięgę przed narodem na wojnę z Moskalami, zerwała się niemilknąca burza oklasków.



Szlakiem bojowym Legionów: Podziemne mieszkania w siedzibie III. brygady Legionów.
(Obraz chorążego W. Wodzinowskiego na Wystawie Legionów w Krakowie).

JÓZEF LASOŃ.

BEZDOMNI.

(Z cyklu: WOJNA NA WOŁYNIU.)

3

Pełnia księżyca oświetlała drogę wygnańców, jak gdyby wzruszona niedolą ludzką, promienie lśniące się po powierzchni moczarzysk słała. Już przycichły z za lasu gdzieś wyjące paszcze armatnie, pozorny spokój zawitał w przestrzeni.

Ostatnimi wysiłkami ciała Frank postępował naprzód, probując glebę ścieżki, omijając zdradliwe miejsca. Ręce kobiety kurczowo objęły go za szyję, zdawały się przyrosnąć do niego, jak gdyby dłonie tonącej istoty ostatniej deski ratunku szukały. Splotły dłonie jego silnie ciało drżącej kobiety, poczuł dreszcze przebiegające przez jej ciało, szarpanie wewnątrz, przeistaczanie się natury. Każda chwila niebezpieczeństwem groziła, nie można było przystanąć, nabrać tchu i zmęczone ramiona wyprostować. U piersi jego pochylona twarz żony wiła się od węwnętrznych bolów, skrzywiły się usta spazmatycznie, dzwoniły zęby, trawiąc spieczone usta gorączką. Za każdym krokiem jęk stłumiony wydzierał się z jej gardła, który jak ostrze stali rozdzierał serce Franka. Dzieci w milczeniu kroczyły za nimi, uspokojone grozą, przelękłe.

— No Maryniu! — z ulgą szepnął Frank — już kończą się przeklęte torfowiska. W chacie Marycy światło. Jeszcze przez te sitowia przejdziemy.

— Ulżę ci ciężaru, sprobuję iść —, odrzekła.

— Nie, nie! Nie możesz ani kroku postąpić! Przeniosę cię przez te sitowia. Tu już chata Marycy.

— Zarośla dochodziły im prawie że do piersi, krwawiąc ręce i targając suknie. Wreszcie dotarli do chaty. Była to nędzna lepianka, osadzona pośród moczarzysk, jak krzyż przydrożny, osamotniona. Grube nieociosane belki, połączone ze sobą, two rzyły ściany lepianki. Szpary pomiędzy łączeniami zalepione były gliną, aby uchronić od wichrów przeciągłych. Raczej na szałas z narzuconym na wierzchu chaty sitowiem zeschłym, niźli na chatę była podobną.

Pokrzywione drzwi, takież okienko jedno, w połowie pozatykane szmatami, zasłonięte było łachmanem starym, przez który światło kominka wydobywało się na zewnątrz. Kawał rury blaszanej, nakształt wylotu armaty, jako komin, wetknięty był w sitowie pokrycia dachu. Z biegiem czasu lepianka ta widocznie zapadała się, wsiąkała w moczarzysko, które gdzieś pod zeschłą napozór glebą stwardniałą zdawało się trwać i grozić mieszkańcom jak i lepiance pochłonięciem.

Frank uderzył butem o drzwi chaty. Cisza panowała wewnątrz. Podszedł do okna, zapukał oswobodzoną ręką, stawiając kobietę na ziemię i podtrzymując ją jednym ramieniem.

— A kto tam? — gniewny, szorstki głos z wewnątrz chaty zapytał.

— To my, Maryco! My!

— My, my! Czort też jest my!

— Frank, rządca ze dworu!

— Rządca? — spytał powtórnie chrypliwy głos Marycy.

Stukot rozsuwanych rygli świadczył, że Maryca wstała już i chatę otwierała.

Frank odetchnął z ulgą, przytulił głowę żony do piersi i gorąco uścisnął. Dzieciaki, uradowane nadzieją prędkiego spoczynku, obok matki cichutko przystanęły, patrząc ustawicznie w twarz rodziców, troski i cierpienia chcąc zrozumieć.

— Bogu dzięki! — szepnęła Frankowa, głaszcząc po jasnych włosach stojącą parę dzieciaków. — Bóg was w swej opiece nie opuści. Wyrwał nas prawie cudownie z rąk śmierci, ocali i w przyszłości.

Maryca z płonącym łuczywem w dłoni stanęła w progu chaty, przypatrując się ciekawie znanej jej rodzinie Franków...

IV.

Wiedźma, przypominająca postać starej Marycy, badawczo wpatrzyła się w niespodziewanych nocnych gości. Wiek przygarbił ją ku ziemi, walki życia ciężkiego szeregiem zmarszczek na wychudłej twarzy rozsiadły, oczy jeno świecące, świdrujące pozostały niezmienione. Byłoż w tym wzroku tyle przebiegłości i energii, że raczej zdała się być nieziemską istotą. Kosmyki siwych włosów, z pod wełnianej szmaty, wysuwały się, poczerniałą twarz staruszki jak tęczą otaczały. Gruby kostur w ręce, nieodstępny towarzysz i łachmany, okrywające ciało wychudłe, przy świetle płonącego ogniwa, przypominały jedną z czarownic zaklętych.

Spojrzała na nich badawczo, a bezzębne usta wyksztusiły słowa:

— Wejdźcie do chaty!

Frank natychmiast zabrał kobietę i wniósł do chaty.

Nędza tu świeciła, bo prócz barłogu z liści zeschłych pod piecem posłanych, prostej ławki i kilku kucheunych garnków i ławki palikami wbitej w gliniastą podłogę ziemi, nic więcej nie było. Szczerniały święty obrazek, na ścianie wybielonej wapnem, jedyną ozdobą i zbytkiem starej Marycy pozostał.

— Połóżcie żonę tu, na posłaniu — rzekła stara — widząc rozglądającego się po izbie Franka. — Za chatą liści sporo, dzieciom posłanie i wam się zrobi. Drzewa urąbać trzeba, aby ogień nie wygasł, staram — usprawiedliwiała się — nie poradzę sama, musicie mi pomódz.

Frank ze wskazanego miejsca przyniósł sporą ilość zeschłych liści i ułożył dzieci do snu.

— No, co, wam paniusiu? Zaraz wam ziółka zaparzę, cierpienie przejdzie. O, stara jestem, doświadczona, już ja was nie puszczę z pod mojej opieki. Dobrzy wy dla mnie, przygarnęli, okryli, stara Maryca umie być wdzięczną. No, a wy, Franku, idźcie na dwór drzewa urąbać, ja tymczasem zabiorę się ziółka przygotować.

Wyszedł posłusznie do sionki, siekierę ujął w dłonie. Oszołomiony przejściami, chwiejąc się na nogach, do zagajnika podążył, sosen lub świerka młodego urąbać. Wypadki, co dopiero przeżyte, jak upiory stawały przed nim, ramiona ciążyły jak podczas przejścia przez groblę. Pierś ciężko dyszała, febryczne drżenia, gorączką spowodowane, trzęsły nim, jak wicher gałęziami drzew.

Mimowoli przystanął, z bocznej kieszeni zegarek wydobył, chcąc sprawdzić godzinę. Była to godzina druga po północy.

— Zatem ośm godzin strasznych przeżyliśmy — szepnął w duszy — ośm godzin, które wiekiem się wydały.

Z za borów na horyzoncie nieba, łuny pożarów krwistą plamą snuły się, kłębami czarnego dymu, niby ołowianemi chmurami przysłonięte. W no cnym mroku szukały schronienia uchodzące wojska. Z głównego traktu, o parę wiorst, głuchy turkot furgonów i jaszczyków armatnich dochodził, jeszcze od czasu do czasu huk armatni wstrząsnął powietrzem.

Szybko, pomimo zmęczenia, siekierą począł ścinać sosnę, z wysiłkiem podnosząc ją w górę.

Nagle zdawało mu się, że z drugiej strony torfowiska głosy dochodzą. Pomimo jasnej nocy i wytężenia wzroku nie mógł nic rozpoznać.

— Widocznie — pomyślał — zbłąkani żołnierze na brzeg torfowisk natrafili, a bojąc się pościgu, wśród miękkiej ziemi przejścia szukać poczęli i ratunku. Przeraziła go ta myśl. Żołnierze gotowi zająć kwaterę i pozostać jakiś czas, ich usuwając z chaty Marycy. Nie było innego dostępu do tej chaty, a tylko dobrze znający tę okolicę mógł odszukać ścieżkę, zatem czuł się przed nową napaścią zabezpieczony. Rozpaczliwe krzyki, wzywające pomocy, przekonywały go, że żołnierze w kałużę błotną się dostali, z której niema ratunku i sposobu wydobycia.

Ucieszył się w pierwszej chwili, że żołnierstwo nie dojdzie w żaden sposób do niego, litość jednakże wzięła górę — namyślać się przeto począł, czy nie może im jakimkolwiek sposobem dopomódz. Chcąc ratować żywcem wchłoniętych w muł i powoli coraz głębiej zapadających, trzebaby pomocy kilkunastu par rąk ludzkich, takąż ilość deszczek i drągów. Nie sposób było wystarać się o to, z żalem więc rozmyślać począł nad nieszczęśliwymi ludźmi, których śmierć obejmowała już w swoje ramiona.

Krzyki te drażnić mu nerwy poczęły i niemiłe wywołały wspomnienia. Czemprędzej zebrał porąbane gałęzie, zarzucił siekierę za pas i ruszył w stronę domu Marycy.

Maryca, zaparzywszy odwaru ziółek, zebranych letnią porą w lesie, napoiła żonę Franka, która natychmiast zapadła w głęboki sen.

Dołożył kilkakrotnie mokrych drew do kominka i znużony usnął niebawem, rozciągając zmęczone ciało na gliniastej podłodze chaty. Stara kobieta, mrucząc pod nosem niezrozumiałe jakieś słowa zaklęć czy modlitwy, przysiadła do kominka i tam na pokoszlawionej ławce drzemać poczęła.

— — — — — — — — — — — — — —

Wczesnym rankiem powiła Frankowa syna.

Dziecię przyszło na świat na pół żywe, Maryca pokiwała smutnie nad niem siwą głową i rzekła do Franka:

— Trzeba ochrzcić! Wieczora nie dotrwa.

Przyniosła w glinianym garnuszku wody i odmawiając pacierze, ochrzczono niemowlę, imię ojca dając.

Stara dobrze przepowiedziała, bo koło południa, zakwiliwszy żałośnie parę razy, zasnęło niemowlę snem wiecznym.

Frank, pod wieczór, owinąwszy martwe ciałko dziecka, niedaleko chaty je pochował.

Zapasy żywności, zgromadzone przez Marycę, prędko znikać poczęły. Chora kobieta ziółkami tylko przez Marycę karmiona była, potrzebnem było dostanie herbaty i cukru lub mleka, którego zupełnie brak było w ubogiej chacie.

Drugiego dnia Frank spostrzegł z przerażeniem, że ostatni kęs chleba pozostał, który Maryca dzieciom odłożyła. Trzeba było pomyśleć o żywności, w przeciwnym razie widmo śmierci głodowej poczynało im wszystkim grozić.

— Nie martwcie się, panie Frank! — pocieszała stara, widząc zadumane i przygnębione oblicze rządcy. — Mam ja zapasy na złą godzinę zachowane. A teraz przecie zła dla was godzina. Parę dni pożyjemy, a coraz ciszej huczą te przeklęte armaty, może ucichną wreszcie i będziemy mogli pomyśleć o dalszych zapasach żywności.

Powoli płynąć poczęły dnie wygnańcom. Wsłuchiwali się w odgłosy toczącej się walki. Frankowa przychodziła do zdrowia i sił pod troskliwą opieką Marycy, która na wędrówki zapuszczać się poczęła, przynosząc i żywność i przysmaki dla dzieci.

Przyznała się wkońcu, że do żołnierzy dochodzi i stamtąd podarki te przynosi i wraz z tem nowiny wojenne. Więc na zamku rozsiadł się już nieprzyjaciel, walka przegrodzona została moczarzyskami i torfowiskiem. Byli więc na strefie neutralnej, zabezpieczonej od falangi żołnierstwa tak z jednej, jak i z drugiej strony, jak również i od pocisków. Za nimi nieprzebyte moczarzyska się ciągnęły, przed nimi las szumiący, przyroda, rzekłbym, prawo wszechwładne pochwyciła w swe dłonie, naturalnym terenem moczarzysk odgradzając się.

Frank postanowił udać się na zamek, zobaczyć stan jego obecny i zbadać sytuację ewentualnego powrotu lub przedostania się przez linię z żoną i dziećmi. W gorących słowach polecił opiekę rodziny Marycy i postanowił z brzaskiem dnia następnego w podróż do zamku się wybrać.

— W każdym razie — zwrócił się do żony, która początkowo odradzać mu poczęła ten zamiar — może uda mi się coś przynieść, choćby żywności trochę lub odzieży i bielizny.

— Idź zatem! — zgodziła się wkońcu — lecz pamiętaj wracać jak najprędzej.

— Prowadź Bóg! — mruknęła Maryca — ja wam panocku rodziną się zaopiekuję. Nie bójta się! Maryca wdzięczność w sercu do was chowa, złego nie da zrobić!...

V.

Z brzaskiem dnia wybrał się Frank w drogę do zrujnowanego zamku. Tą samą ścieżyną, przez którą w pamiętny wieczór uciekał, z powrotem szedł, rozglądając wokoło całą grozę tej niebezpiecznej przeprawy.

Wydało mu się to wręcz nieprawdopodobnem, ponad siły ludzkie przechodzącem.

Dochodził do podnóża polanki, skąd droga stawała się już suchszą i kończyły się bagna moczarzysk, gdy wzrok jego padł na wystające jakieś przedmioty z mułu i iłu.

Wpatrzył się w tę szklistą powłokę i zadrżał. Byłyż to ręce ludzkie, zeschłym mułem oblepione, wystające pośród bagna? Kleista masa pochwyciła ludzi jak mackami, momentalnie udusiła, sterczące błagalnie, ratunku próżno szukające ręce na powierzchni pozostały, ciało zatrzymało się na spodnim stwardniałym gruncie. Pogięte łodygi trzcin i sitowia znaczyły drogę ucieczki.

Nadbrzeżne gąszcza trzcin i sitowia stratowane były w podobnyż sposób, widocznie więcej tu żołnierzy, w ucieczce ratunku szukając, znalazło śmierć w bagnie.

Przeszedł przez ciało jego dreszcz. Frank wspomniał o podobnym losie swoich ukochanych. Wystarczyło wtedy jeden fałszywy krok uczynić, lub w ciemnościach nocy zabłądzić i w podobnem znaleźć się położeniu.

Zdradny torf bagniska nie odrazu bowiem wciąga w otchłań swoją pochwyconą ofiarę. Początkowo zapadają się nogi, w elastyczną masę wchodząc, pozwalając kroczyć po powierzchni, póki się nagle człek po pas w bagnisko nie dostanie. Wolne ręce

grzebią rozpaczliwie, probując wyrwać zapadnięty tułów. Skazaniec, stojący przed chwilą wykonania wyroku, drży z trwogi przed ostateczną chwilą, która zaledwie parę sekund potrwa. A cóż dopiero człowiek, który w bagno przypadkiem wpadłszy, przeżywa długie godziny konania! Bo nieznacznie, coraz głębiej zapada się, przerażone oczy patrzą na coraz bliżej przysuwającą się toń bagniska... jak gdyby oblewające wody morza, człowieka do pala przywiązanego zatopić miały... Uwięzione ciało daremnie wytęża siły, rozpręża ramiona, coraz głębiej się zapada.

Mijając z lękiem te miejsca, szybkim krokiem podążył przez las. I tu natrafiał na niepogrzebane ciała, leżące przy ścieżkach. Ranni, dowlókłszy się tutaj, nie mając znikąd ratunku, skończyli życie. Pod drzewem siedzący człek, ze zwieszoną na dół głową, przy nim kilka listów, przez wiatr rozproszonych... To ostatnia wola i myśl nieżywego już ciała. Zdruzgotana noga, z której postrzępione szmaty z zaschłą raną wyglądały, nie pozwoliła szukać ocalenia. Więc póki przytomność miał, do swoich napisać pragnął, śmierć mu ołówek z ręki wytrąciła, wicher postrzępił skrawek papieru, który ostatniem drgnieniem rąk, silnie przywarł do zaciśniętej dłoni.

Frankowi drżały nerwy z napięcia i przerażenia. To żniwo śmierci wojny wyzierać poczęło straszliwemi obrazami, wstrząsając nerwy ludzkie.

Kruki spłoszone, z głośnem krakaniem ucztę chwilowo porzucały, a widząc oddalającego się Franka, napowrót zabrały się do przerwanej uczty.

Zamyślony Frank nie spostrzegł nawet, kiedy las się skończył i skąd widok na zamek się roztaczał. Podniósł głowę, obejmując wzrokiem okolicę i okrzyk bolesny wyrwał się z jego ust.

Zdala świeciły ruiny pałacu, jak szkielet ludzki odarty z ciała, nagością swą przerażające. Więc puste okiennice, niby oczodoły czaszki, wiszące belki drewniane i strzępy murów — żebra ludzkie, spojone sztucznemi sprężynami, tworzące jedną całość.

Przytknął dłonie do rozpalonego czoła, znieruchomiał.

Mimo, że nie była to jego własność, lata włożonej doń pracy i trudu, przywiązania, jak również litość nad hrabią, który postradał to, co długie lata trudu i znoju kosztowało — stary zamek ojców — żal ścisnął jego sercem na widok tych gruzów.

Im bliżej podchodził do zamku, przedzierając się przez gąszcze, słychać było krzyki i nawoływania. Wsłuchiwał się w dochodzące urywane słowa wyrazów i z radością się przekonał, że zamek zajęty jest przez armię sprzymierzonych. Linia zatem przez tę parę dni przeniosła się szybko — Rosyanie w szybkim odwrocie cofnęli się.

Przyspieszył kroku, dojrzał już z poza zburzonego ogrodzenia pałacu kręcących się żołnierzy.

Warta, po wyjaśnieniu przyczyn przybycia, odstawiła go do komendanta, który go szczegółowo wypytywać począł, spisując protokół z powodu rozstrzelania jeńca austryackiego przez żołnierzy rosyjskich. Komendant był Polakiem, przyjął go nader życzliwie, objaśniając, iż hrabia przed paru godzinami był w zamku i prawdopodobnie błądzi gdzieś po ruinach.

— Więc żona pańska na osadzie? — spytał wkońcu komendant.

— Tak, panie komendancie!

— Radziłbym przenieść ją tutaj i natychmiast cofnąć się gdzieś w głąb Królestwa. Wojna nadwyrężyła zdrowie żony — trzeba jej spokoju. Ułatwię państwu podróż!

— Serdecznie dziękuję! Chciałem jednak spotkać się z hrabią i dlatego proszę, bym się przedtem mógł z nim porozumieć.

— To już od pana zależy — życzliwie przerwał komendant — każdej chwili jestem do usług.

Frank z ulgą na sercu wyszedł na dziedziniec, obchodząc ruiny zamku, w nadziei spotkania hrabiego.

Tuż pod basztą, a raczej gruzami baszty, stał jakiś człowiek w zniszczonem ubraniu. W jednej kurczowo zaciśniętej ręce trzymał kapelusz, drugą zaś zasłonięte miał oczy. Biały włos okrywał głowę sześćdziesięcioletniego starca.

Frank, tknięty przeczuciem, podbiegł ku stojącemu nieruchomo człowiekowi i krzyknął przeraźliwie:

— Panie hrabio!

Starzec ociężale podniósł oczy, drgnął i z ust wydarł się cichy szept:

— A to pan, panie Frank.

Frank przecierać począł oczy, jakby w gorączce jakiś przykry obraz, wywołany maligną, odpędzić zamierzał. Na kupie gruzów, z pośród których wyglądały szczątki ram, portretów poszarpane oblicza, sprzęty wszelkiego rodzaju, stał człowiek siwiuteńki, raczej wiekowy starzec, niż pełen sił trzydziestoletni mężczyzna, którego zaledwie przed paru dniami oglądał i z nim się rozstał. Twarz, wykrzywiona bólem wewnętrznym, porysowała się, zmarszczek linie przebiegły przez czoło...

W ciągu tych kilku dni lata przeżył długie cierpienia i zupełnie osiwiał. Frank nie wierzył oczom, sądził, że ma przed sobą przodka hrabiego, którego maligna stawiła mu przed oczy. Otrzeźwił go głos hrabiego, z zbolałej piersi, skądś z zranionego serca płynący:

— Tak, to ja, panie Frank! Nie możesz mnie pan poznać? Chyba nie potrzebuję panu nic więcej mówić...

— To pan, panie hrabio?

— Tak! Widzi pan! Jedna noc w siwy włos mnie przyozdobiła. Jedna noc zrujnowała mnie doszczętnie!

— Panie hrabio! Wszystko się da z gruzów dźwignąć!

— Eh — smutnie odparł hrabia zniechęcony, machając ręką — wszystko! Lecz nikt mnie i panu gruzów z serca nie dźwignie! Zresztą na co? Lata pracy, lata całe budować — by ruiny w zamian przez jedną noc mieć! Zostawię to innym czasom i innym pokoleniom. Nikt mi przeżytych chwil i serca z gruzów nie odbuduje — nikt i nic!

Potrącił nogą dębowe ramy portretu, schylił się, by szczątki malowidła przodka podnieść. Z przywartych powiek spłynęła łza serdecznego bólu i rozpaczy i zmieszała się z popiołem i gruzem.

Długa chwila milczenia upłynęła. Było to nieme pożegnanie nieszczęsnego skazańca, wpatrującego się po raz ostatni w szczątki tego, co drogie sercu jego i co ukochał.

Frankowi, patrzącemu się na siwą postać pana, łzy poczęły po wynędzniałych policzkach spływać...

— — — — — — — — — — — —

— Ja, panie Frank, jadę obecnie do Warszawy. Nie mam tu co robić, raczej męką byłoby pozostanie tutaj. Opuszczam zatem pradziadów siedzibę. Czy po wojnie tu wrócę, nie wiem. Czyż zdoła człowiek obliczyć wszystko, co w przyszłem życiu uczyni? Pozwól pan i przyjmij odemnie, jak od przyjaciela, tę sumę, którą ci obecnie wręczę.

— Ależ, panie hrabio!

— Nie, panie! Radzę panu również uczynić to samo, choćby ze względu na rodzinę.

— Słusznie, panie hrabio! Byłem u komendanta, przyrzekł pomoc. Pojadę do Radomia, do krewnych i tam przytułek znajdę.

Frank zamierzał, opowiadając dzieje tułaczki i przeżyć, prosić hrabiego o wzajemny opis doznanych ciężkich chwil. Jednakże nie miał odwagi rozraniać i krwawić świeżo powstałych blizn i nie ruszając już tego tematu, rozstał się serdecznie z hrabią, obiecując natychmiast po ulokowaniu rodziny w Radomiu wrócić i zająć się ruinami zamku.

— — — — — — — — — — — —

I w parę dni później, zabierając resztki ocalonych od pożaru rzeczy, ruszył Frank z rodziną w stronę Radomia, dziękując Bogu za ocalenie.

Kozienice, w lutym 1916.



Legioniści polscy w Pradze: Stacya zborna Legionów polskich w Pradze. (Fot. inż. L. Bratz)

Legioniści polscy w Pradze.

Przed rokiem powołano do życia stacyę zborną Legionów polskich w Pradze, mieszczącą się w jednej z kasarń tamtejszych. Jej przeznaczeniem jest otaczać opieką chorych legionistów w szpitalach Pragi i całych Czech, zgromadzać wychodzących stamtąd rekonwalescentów przed odesłaniem ich do pułków, ewentualnie do Kamieńska, a wreszcie rozciągać kontrolę nad przybywającymi do Pragi legionistami. Przeciętnie przebywa w stacyi 40—50 legionistów, ustawicznie zmieniających się; stale przebywa tu tylko kilku podoficerów, przydzielonych do służby w Pradze.

Od przeszło pół roku biorą legioniści dość żywy udział w życiu miejscowej kolonii polskiej. Jeszcze w miesiącach letnich urządzili własnemi siłami wieczorek humorystyczny, zaś w jesieni zorganizowali doskonały chór, który zyskał sobie wkrótce znaczny rozgłos i popularność. Jego dyrygentem był z początku p. Czarnecki, potem p. Szindler. Chór ten śpiewał przez szereg miesięcy w czasie polskich nabożeństw, wziął też udział w szeregu wieczorków, wykonując na wieczorku listopadowym i obchodzie styczniowym pieśni narodowe i piosenki żołnierskie, na innych zaś, jak w czasie wigilii, pasterki i zebrania towarzyskiego w pierwszy dzień świąt, kolendy. Kolendy odśpiewano też na grobach



Legioniści polscy w Pradze: Oficerowie i podoficerowie Stacyi zbornej polskich Legionów w Pradze. W środku komendant kapitan A. Rittner (X).



Legioniści polscy w Pradze: Grupa członków chóru.

poległych legionistów w dniu wigilii. Legioniści urządzili własnemi siłami także wieczorek sylwestrowy, wypełniony produkcyami chóru, deklamacyami, monologami i grą na fortepianie. Także i w codziennem życiu utrzymują legioniści dość silną łączność z Polakami miejscowymi, bywając codziennie wieczorem w dość pokaźnej liczbie na herbacie w lokalu kuchni polskiej, gdzie przyjemnie czas schodzi na pogawędce, głównie o przygodach żołnierskich i wieściach z kraju.

Komendantem stacyi Legionów w Pradze jest kapitan Aleksander Rittner, syn ś. p. Edwarda, rektora uniwersytetu lwowskiego, późniejszego ministra, a brat znanego literata, Tadeusza. Cieszy się on ogromną sympatyą tak wśród legionistów, którzy w nim widzą nie tylko przełożonego, ale też i życzliwego opiekuna, jak wśród całej kolonii polskiej, gdzie jest bardzo cenionym dla swych zalet towarzyskich, taktu i uprzejmości, z jaką idzie ze swej strony na rękę i popiera tego rodzaju uroczystości, jak wigilia polska i obchody narodowe.



Na wschodnim froncie: Kapitan Kowalski z pierwszej dywizyi haubic i lekarz sztabowy dr. Bąkowski w polu.



Odznaczenie szefa sztabu Legionów: Komendant Legionów jen. Puchalski dekoruje szefa sztabu, kapitana Zagórskiego, orderem żelaznej korony.

Odznaczenie szefa sztabu Legionów.

Pod koniec zjazdu pułkowników legionowych, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze, odbyło się udekorowanie szefa sztabu Legionów, kapitana Włodzimierza Zagórskiego, przez nowego komendanta gen. Puchalskiego.

W uznaniu zasług i trudów koło rozwoju Legionów podczas całej kampanii bojowej przyznano świeżo kapitanowi Zagórskiemu wysoki order żelaznej korony, a zawieszeniu tego odznaczenia na piersiach

zasłużonego szefa sztabu towarzyszyło serdeczne przemówienie gen. Puchalskiego, który podniósł nader poważną pracę, niezmordowaną wytrwałość i niezwykłe oddanie się odznaczonego sprawie Legionów.

Jego to iest w znacznej mierze zasługą, że ochotnicza formacya militarna w ciągu tak krótkiego czasu dorównała najzupełniej regularnym wojskom i w technicznem wyszkoleniu bojowem w niczem nie ustępuje swym starszym kolegom fachowym.

Uroczyste półkole oficerów, towarzyszących dekoracyi, łączyło się z komendantem w życzeniach, by zasłużony szef sztabu w dalszej owocnej pracy dla dobra Legionów nie raz jeszcze był przedmiotem odznaczenia za rzetelne zasługi i narodową służbę.

Wojna w Polsce.

Pewne pojęcie o ogromie zniszczenia, spowodowanego wojną na ziemiach polskich, daje memoryał, złożony generał-gubernatorowi warszawskiemu przez Radę Główną opiekuńczą.

„Fala wojenna — stwierdza memoryał — jaka w latach 1914 i 1915 przeszła przez ziemie polskie, będące jużto pośrednim już bezpośrednim terenem walk, pociągnęła za sobą ruinę setek tysięcy siedzib ludzkich.

Z ogólnej ilości budowli (trzy miliony sześćset tysięcy) według obliczeń przybliżonych, prawie dwanaście proceut już nie istnieje zupełnie, dwadzieścia pięć procent jest nie do użytku, a oprócz tego znaczny procent wymaga gruntownego remontu.

Cała ta ruina powstała albo skutkiem walk artyleryjskich, albo wypadkowych pożarów w związku z działaniami wojennemi, albo skutkiem burzenia wywołanego koniecznością strategiczną lub z innych przyczyn.

Straty te wynoszą sumy olbrzymie, jeśli bowiem wziąć pod uwagę, że wartość ogólna budowli ubezpieczonych od ognia wynosiła w Królestwie Polskiem 1,120.000.000 rsb., otrzymamy cyfry bardzo poważne, które jednak ściśle ustalić będzie można dopiero wtedy, gdy podejmowane obecnie prace szacowania strat i szkód wojennych zostaną ukończone.

Tymczasem jednak ludność, skutkiem kataklizmu dziejowego pozbawiona dachu nad głową, wszędzie tam, gdzie pozostała na swoich miejscach, odruchowo dąży do odbudowania zniszczonych siedzib.

Szczególniej miasta i miasteczka, które stosunkowo ucierpiały najwięcej, jak również większa własność ziemska, o ile mają po temu możność materyalną, biorą się do odbudowy. Niemniej i ludność wiejska, o ile tylko zdobywanie materyału budulcowego nie przedstawia nieprzezwyciężonych trudności, również skwapliwie stara się odbudować".

Najmniej stosunkowo ucierpiały większe miasta, jak Lublin, Kielce, Warszawa, ale i tam nie obeszło się bez strat w budowlach i w życiu ludzkiem. Ciekawy opis walk o Warszawę daje Sven Hedin w swej książce „Na Wschód".

„Dziwny nastrój — pisze autor — panował w Warszawie, gdy w dniu 6 sierpnia, to jest nazajutrz po upadku tego miasta, tam przybyłem. W straszliwym ścisku ludzi na ulicach nie było można zauważyć śladu podniecenia, albo pośpiechu. O istnieniu wojny przypominały jedynie kolumny trenów, posterunki wojskowe przed pewnymi budynkami, maszerujące





Na wschodnim froncie: Jenerał Rozwadowski (X) przy pierwszej dywizyi ciężkich haubic na pozycyi.



Na wschodnim froncie: „Turecka baterya" (armaty wykonane przed wojną w zakładach austryackich dla Turcyi) na pozycyi pierwszej dywizyi ciężkich haubic.

wojska i konni żandarmi. Tramwaje elektryczne krążyły, jak zwykle, gęsto obsadzone, a ulice roiły się od dorożek.

Z godziny na godzinę wzmagał się ruch na ulicach. Przychodziły nowe wojska, pędziły nowe automobile, zdobne czarno-czerwono-białemi chorągiewkami. Od czasu do czasu słychać było strzały, a kule uderzały w mury domów. Pozostawione na Pradze tylne straże rosyjskie miały polecenie Niemców niepokoić i przeszkadzać im, jak tylko można najdłużej, w przeprawieniu się na drugą stronę.

Mieszkańcy polskiej stolicy nie troszczyli się jednak o to bynajmniej. Wprawdzie odniesiono na noszach wielu rannych cywilnych, było nawet kilka trupów, ale ruch uliczny nic tego nie odczuł, raczej zwiększył się.

Widać było na ulicach elegancką publiczność, całe rodziny, bony z dziećmi na wózkach i mnóstwo dziewcząt w białych sukniach i modnych letnich kapeluszach. Miasto, jego ulice i budowle tonęły w promieniach gorącego, sierpniowego słońca.

Tylne pokoje hotelu Bristol, gdzie zamieszkałem, miały okna wychodzące na Pragę i skutkiem tego każdej chwili były one wystawione na ogień rosyjski.

Celem pierwszej mojej wycieczki był fort Nr. 9, położony na południowej stronie miasta, który dnia poprzedniego o godzinie 3 rano został zdobyty. Przestarzały i bezbronny wobec niemieckiej artyleryi, przedstawiał widok straszliwego zniszczenia. Na 20 minut przed mojem przybyciem fort był jeszcze ostrzeliwany szrapnelami z prawego brzegu. Kilka świeżych grobów było ozdobionych z pietyzmem rosyjskiemi czapkami i obrazami świętych.



Wojna w Polsce: Dzwon z cerkwi w Hrubieszowie zostawiony w pospiesznej ucieczce przez Rosyan





Spoczynek oficerów na pozycyi. **Na wschodnim froncie:** Przed kwaterą pierwszej dywizyi ciężkich haubic.

Gdy w drodze powrotnej dostałem się do miasta, krążyły nad niem dwa samoloty, gęsto ostrzeliwane szrapnelami. Jeden z lotników był Rosyaninem; był on nieustannie otoczony obłoczkami dymu i cudem tylko nie został zestrzelony. Drugi lotnik był Niemcem. Rosyanie ostrzeliwali go z Pragi. Dawał on sygnały świetlne, aby nie być i przez Niemców atakowanym. Rosyanin spuścił kilka bomb, które prawdopodobnie przeznaczone były dla hotelu „Bristol“, gdzie stał sztab niemiecki.

Powróciwszy, wywindowałem się na piąte piętro hotelu i wyszedłem na balkon, zwrócony w stronę Pragi. Można było stąd mieć dokładny przegląd rowów strzeleckich rosyjskich na praskim brzegu Wisły. Były one zaledwie 950 metrów oddalone. Żołnierzy nie było widać, gdyż się ukrywali. Ale słychać było nieustanny grzechot strzałów karabinowych, skierowanych w ulice Warszawy, prowadzące w stronę Pragi.

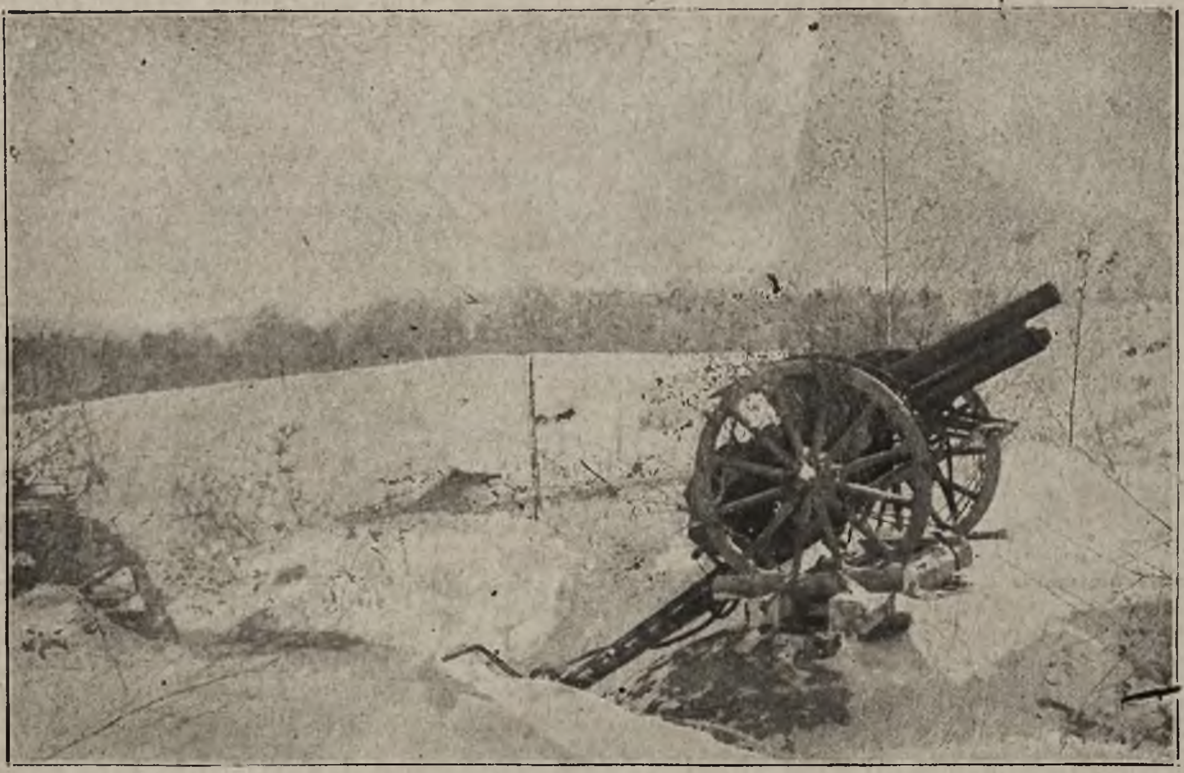
Spałem przy otwartem oknie i słuchałem przez chwilę charakterystycznego grzechotu ognia karabinowego. Ostre strzały dawały odgłos uderzeń bicza. Kule odbijały się od murów domów i bruku ulicznego; słychać było ciągle nie tylko uderzenia pocisków, ale i świst ich w powietrzu. Ogień zaś był tak silny, że nie można było zliczyć uderzeń wieżowego zegara.

Nazajutrz rano słychać już było tylko odosobnione strzały. Plac Zamkowy był jeszcze zamknięty, gdyż Rosyanie z lubością w ten punkt kierowali ogień. Moja legitymacya otwarła mi jednak do niego drogę. Rozpocząłem więc szczegółową wędrówkę po starym, przez Zygmunta Wazę zbudowanym zamku, którego fasada zwracała się w stronę Wisły. Prawie wszystkie tu okna były podziurawione. Kule karabinowe tkwiły w pozłacanych krzesłach i sofach, jak niemniej w ścianach, poza jedwabnemi tapetami, a od czasu do czasu przybywały nowe.

Także i drugiego wieczora jeszcze była Warszawa od strony Pragi ostro ostrzeliwana, ale już słabiej nieco, niż dnia pierwszego. Restauracye warszawskie były mimo to przez cały dzień otwarte i przepełnione, ale o godzinie dziewiątej musiały być zamknięte. Nieopisanym był nastrój tego wieczoru.



Na wschodnim froncie: Major Sigmund i kapitan Kowalski na pozycyi pierwszej dywizyi ciężkich haubic.



Na wschodnim froncie: Armata do ostrzeliwania aeroplanów nieprzyjacielskich.

Tradycyjna Szopka krakowska w Zakopanem.

Dzięki staraniom grona artystów-malarzy, tradycyjna szopka wystawiona została ubiegłego miesiąca w Zakopanem. Doskonała satyra na tle miejscowych stosunków i popularnych osobistości, pióra p. A Pronaszki i St. Kamockiego gromadziła tłumnie publiczność przez trzy wieczory. Podziwiano też świetnie wykonane figurki i piękną szopkę.

Znakomitym recytatorem był p. Z. Trojanowski. Figurki w liczbie przeszło trzydziestu nabył do zbiorów swych p. S. Karpowicz w Zakopanem.

Występy Leona Wyrwicza.

Znany i ceniony artysta, Leon Wyrwicz, rozpoczął szereg występów w galicyjskich miastach. Dochód z tych wieczorów jest przeznaczony na cele polskich żołnierzy w armii służących. Należy przypuszczać, że tak cel wieczorów, jak i występy jedynego w swym rodzaju artysty, sprowadzą wszędzie liczną publiczność. W program wchodzą rzeczy aktualne, charakterystyczne dla chwili obecnej, jakoteż migawki, uchwycone z życia. Nazwisko zresztą artysty daje zupełną rękojmię powodzenia zapowiedzianych wieczorów.

Słychać było z jednej strony fanfary koncertującej muzyki, podczas gdy na ulicach grasował ogień rosyjski i gęsto noszono rannych.

Wróciłem ponownie na balkon na piątem piętrze — kończy swój opis Sven Hedin — aby zobaczyć pożary, pustoszące różne strony Pragi, dworzec Terespolski ze wszystkiemi bocznymi budynkami i magazynami, dalej koszary, składy, fabryki i zakłady wojskowe. Nad miastem unosiły się chmury dymu, a płomienie rzucały niemiły odblask na domy, dachy i wieże kościelne. W północnej stronie przy dworcu nadwiślańskim zgromadzili Rosyanie około tysiąca wagonów osobowych i towarowych, oblali je naftą i zapalili. Wozy i ich zawartość spłonęły tak, że zostały tylko koła, osie i rusztowanie żelazne.



Na wschodnim froncie: Gotowanie menaży.



Na wschodnim froncie: Wesoła chwila w czasie obiadowego „zawieszenia broni".

Po południu odbyłem z wojskowymi attachés przejażdżkę Wisłą na Pragę. Rosyanie tegoż dnia wcześnie opróżnili miasto. Na brzegu znaleźliśmy płytką łódź, którą dwóch ludzi pod wodę posuwało drągami; woda w tem miejscu miała najwyżej półtora metra głębokości.

Zwiedziliśmy rowy strzeleckie, które Rosyanie przed kilku zaledwie godzinami opuścili, rozmawialiśmy z Polakami i żydami, przejechaliśmy miasto wzdłuż i wszerz i zwiedziliśmy spalone dworce, koszary i fabryki, w których popiele biedni ludzie szukali resztek metalu.



Na wschodnim froncie: Stajnie drugiej dywizyi ciężkich haubic.

ADAM WIARYGA MINIEWSKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

1

ROZDZIAŁ I.

— Anielko, czemu się nie ubierasz? Czyś zapomniała, że mamy pójść na podwieczorek pod „Białego Łabędzia“?

Wysoka, ciemnowłosa panna podniosła oczy z nad trzymanej w ręku książki.

— Czy ciocia życzy sobie tego koniecznie, abym towarzyszyła cioci na ten podwieczorek? — zapytała wahającym głosem.

— Cóż to znowu za pytanie?! Naturalnie, że sobie życzę! — zawołała trochę zirytowana ciotka — ale co ja widzę, ty masz znowu czerwone oczy?! Płakałaś?!... Proszę cię, powiedz mi, co znaczą te wieczne beki?! Co ci jest?

— Nic, cioclu, właściwie nic...

— Jakto nic? Bez powodu nikt przecież nie płacze. Jeżeli masz jakie zmartwienie, to chyba możesz mi o niem powiedzieć... Sądziłam, że więcej zaufania masz do mnie, twojej jedynej opiekunki.

— Ależ cioclu, ja mam do ciebie zaufanie, tylko boję się rozgniewać cię...

— Jużeś mnie rozgniewała swoim płaczem, więc, proszę cię, nie irytuj mnie więcej! Mów, o co chodzi?...

— Ach! cioclu Krzysiu, to przecież już przeszło trzy miesiące upłynęło, jak nie mam żadnej wiadomości...

— Jakiej wiadomości? Od kogo?

— No od pana Kazimierza...

— Cóż to znowu za pan Kazimierz?

— Czyż ciocia nie pamięta, że to ten, który...

— Miałabym też o czem pamiętać! — przerwała siostrzenicy pani Krystyna — Wiem już, o kogo chodzi, to o tego ślusarczyka, którym zawróciłaś sobie głowę!... Proszę! I to z jego powodu wypłakujesz sobie codziennie oczy. Ślicznie będziesz wyglądała z temi zaczerwienionemi oczyma i zapuchłym nosem!

Pani Krystyna zastanowiła się nad czemś i po chwili ciągnęła dalej:

— Ale powiedzno mi, moja kochana, co to znaczy, że ty dopiero od trzech miesięcy nie masz o nim wiadomości? Więc poprzednio miałaś je?! Widocznie zatem musiałaś się z nim porozumiewać potajemnie? Ślicznych się rzeczy dowiaduję, moja panno!

Anielka zmieszała się i zaczerwieniła.

— Daruj mi, cioclu, tę tajemnicę, ale samaś temu winna... Zabroniłaś mi tak surowo, tak stanowczo widywać się z panem Kazimierzem, pisywać do niego, nie chciałaś słyszeć nawet jego nazwiska, nie chciałaś nawet widzieć jego fotografii...

— I nadal nic o nim słyszeć nie chcę, rozumiesz?! Nie chcę wiedzieć, jak się nazywa ten zuchwalec! On dla mnie nie istnieje! I ty za niego nie pójdziesz! Zapamiętaj to sobie! Toby mi się podobało, panna Zurakowska za ślusarza!

— Przepraszam ciocię, ale muszę jeszcze raz powtórzyć, że pan Kazimierz nie jest ślusarzem, tylko elektrotechnikiem i ma świetną przyszłość przed sobą, bo jest energiczny, pracowity, przedsiębiorczy, jak mało kto! Przed wojną jego zakład rozwijał się wspaniale! A zresztą, choćby i był prostym ślusarzem, tak, jak jego ojciec, to i tak nie pokochałabym innego, bo nie znam lepszego, dzielniejszego chłopca! Jestem pewna, że gdyby ciocia go poznała, to zmieniłaby zdanie.

— Już ja go nie chcę poznawać! Nie gardzę żadnym uczciwym robotnikiem, ale w towarzystwie ślusarzy, kowali i t. p. nie miałam nigdy upodobania. Dosyć już o tem! Zapowiadam ci, że jeżeli się dowiem o jakiej tajnej korespondencyi, to oddam cię do klasztoru. Jeszcze nie jesteś pełnoletnia, moja panienko i ja jestem twoją opiekunką!

— Tak, a później ciocia się gniewa, że mam tajemnice — zauważyła spokojnie Anielka.

Pani Krystyna spojrzała ze zdumieniem na siostrzenicę. Zastanowił ją przez chwilę ten silny upór w dziewczynie zwykle łagodnej i uległej.

Ale pani Krystyna miała już takie usposobienie, że nie lubiła się długo zastanawiać nad czemś i nie umiała się długo gniewać. Machnęła więc lekceważąco ręką.

— No! Mam nadzieję, że przez wojnę wywietrzeje ta niedorzeczna miłość! Dobrze, żeś się wyrwała z tego zapadłego naszego zakątka. Tam z nudów musiały ci przychodzić różne głupie myśli do głowy.

Ciocia podeszła do Anielki, ucałowała ją serdecznie, a następnie, gładząc jej bujne, ciemne włosy, mówiła głosem, w którym przebijała dobroć i miłość:

— Moja Anielko, wychowałam cię od dziecka, kocham cię jak córkę, odziedziczysz po mnie mój majątek, ale przecież nie oddam cię byle łapserdakowi. Tobie innego potrzeba męża i ja ci już takiego znajdę. No, a teraz głowa do góry! Przemyj oczy, ubierz się ładnie i pójdziemy. Pan Alfred i pan Witold czekają już pewnie na nas.

Anielka przesunęła dłonią po oczach, aby przepłoszyć, przegnać precz te szybkie, nieuchwytne drgnienia powiek, z pod których chwilka jeszcze — a wytrysnęłyby drobne perełki łez. Przytuliła się do piersi swojej opiekunki.

— No, zbierz się, Anielko, idziemy.

— Dobrze, cioclu — szepnęła panna.

Mina jej wskazywała aż nadto jasno, że Anielka bynajmniej nie tęskni za towarzystwem panów: Alfreda i Witolda. Zgodziła się jednakowoż, nie chcąc drażnić ciotki.

Po upływie jakichś dziesięciu minut Anielka, gotowa już do wyjścia, czekała na ciotkę, naciągając rękawiczki.

Pani Krystyna krytycznem spojrzeniem obrzuciła ubranie siostrzenicy.

— Dlaczego znowu ten czarny filcowy kapelusz i stary żakiet? — zapytała. — Dobre to było na drogę, ale tutaj, w Pradze, stolicy Czech, trzeba się porządnie ubrać!

— Kiedy my, cioclu, oglądamy tę stolicę Czech w takich niezwykłych warunkach, że trudno, a nawet nie wypada myśleć o strojach! Zagnała nas tutaj przecie konieczność wojny...

— No, tak! konieczność wojny... Wojna i wojna! Każdy ma teraz jedno słowo na ustach: wojna. A przecież pomimo wojny trzeba żyć, no i trochę urozmaicać sobie życie... Niepodobna ubrać się w jakiś worek pokutny, posypać głowę popiołem i zamęczać się smutnemi myślami. To do niczego nie prowadzi.. Trzeba także umieć pokazać się wśród obcych.

— Bardzo wątpię, cioclu, czy zaimponujemy im strojami! Przeciwnie, gotowi jeszcze nabrać o nas złego wyobrażenia, pomyślą, żeśmy głupie i próżne i nie umiemy zrozumieć powagi chwili.

— Proszę cię, nie rezonuj! — zawołała, dotknięta do żywego słowami siostrzenicy, pani Krystyna. — Jesteś młoda i wielu rzeczy nie rozumiesz. Patrz uważnie, a zobaczysz, że nikt się tutaj specyalnie nie umartwia. Życie ma swoje prawa. Tylko ty od czasu tego pobytu w Krakowie zrobiłaś się zanadto mądra i udajesz sensatkę. To wcale nieodpowiednia rola w twoim wieku. Nie trzeba przesadzać. Dowiedz się także, że zależy mi na tem, abyś nie wyglądała, jak kopciuszek. Ludzie gotowi pomyśleć sobie jeszcze, że ci żałuję.

— Kto zna ciocię, ten nigdy czegoś podobnego nie ośmieli się przypuścić. O takiego zaś, coby robił takie głupie przypuszczenia, to doprawdy dbać nie warto...

— No, już dobrze, dobrze — odpowiedziała udobruchana ciotka. — Mam nadzieję, że otrząśniesz się tutaj z parafiańszczyzny. A teraz chodź, już czas najwyższy.

Wieczór był mroźny a pogodny, to też przez jasno oświetlone „corso“ praskie, piękną, szeroką ulicę „Na Přikopě“ przelewały się fale spacerowiczów.

Młodzi i starsi panowie w wysokich, błyszczących cylindrach robili swój zwykły przegląd pięknych pań, których twarze, zaróżowione od mrozu, wykwitały, jak kwiaty, z futrzanych obramowań. Tu i ówdzie przesuwały się młode pary, zapatrzone, zasłuchane wyłącznie tylko w siebie. Gdzieindziej starsi, poważni mężczyźni, prowadząc ożywione rozmowy, składali co chwila z całą powagą ukłony znajomym.

Gdzieniegdzie błąkał się jakiś samotnik, pragnący może w tem ruchliwem zbiorowisku ludzkiem zgubić, utopić dręczące myśli.

Bogato oświetlone i wytwornie urządzone okna wystaw sklepowych ciągnęły ku sobie oczy kobiet, które też pojedyńczo lub grupami przystawały, sycąc swój wzrok eleganckimi fatałaszkami.

Pośród tego eleganckiego tłumu przesuwali się, jak gdyby chyłkiem, to posłaniec z listem, to wyrobnik z ciężkim pakunkiem, to panna z magazynu z pudełkiem.

W powietrzu rozbrzmiewał wielojęzyczny gwar rozmów. Nierzadko słychać było polskie: „Całuję rączki“, „Jakże się kochany pan miewa?“, „To i pani radczyni tutaj?“, „Cóż pan tutaj porabia?“, „To samo, co i pan“ i t. p.

W tłum czarnych cylindrów wmieszały się tu i ówdzie siwe i czarne czapki barankowe, granatowe maciejówki, a w rój eleganckich futer i kostyumów szare świtki futrzane i kożuszki zakopiańskie. Gdzieniegdzie torował sobie drogę śmiało długi chałat obywatela z Galicyi.

Pani Krystyna z żywem, niekłamanem upodobaniem śledziła ten kipiący ruch uliczny. Oczy jej, rozbłysłe radością, wyrażały jasno, że czuje się bardzo zadowoloną. Od dawna marzyła o tem, aby się dostać w takie wielkomiejskie środowisko, ale mąż jej, gospodarz zawołany, człowiek trzeźwy i praktyczny, siedział kamieniem na wsi i żonę krótko trzymał.

Rzadko kiedy mogła się pani Krystyna wyrwać na jakiś dłuższy czas do Krakowa lub Lwowa, a już o karnawałach, spędzanych w mieście, o kuracyach w krajowych i zagranicznych miejscowościach kąpielowych — o tem Wolski słyszeć nawet nie chciał. Uparcie twierdził, że w jego Zalesinkach jest doskonałe powietrze, świeże i czyste, niema więc potrzeby jeździć po nie gdzieś daleko.

„Moja kochana“ — odpowiadał zawsze żonie, kiedy ta z płaczem robiła mu wyrzuty, że pani Zagórska jedzie na lato do Ostendy, a pani Porębska do Krynicy, a znów państwo Orwiczowie, najbliżsi sąsiedzi Zalesinek, wybierają się na cały karnawał do Wiednia — „ja mam obowiązki względem ziemi i kraju i majątku nie przeszastam na fatałaszki i rozmaite „bady“. Co ci po Krynicy, moja Krysiu, wyglądasz przecież zdrowo i ślicznie? Co zaś do tego, jak postępują inni — ha! to niechajże sobie robią, co się im podoba, choćby i długi, a ja będę robił swoje“.

I robił swoje. Spuściznę Anielki — folwark Polankę — oczyścił z długów, a kiedy umarł przed trzema laty, zostawił żonie majątek w kwitnącym stanie, wzorowo zagospodarowany, a oprócz tego pokaźną sumę w gotowiźnie.

Żałoba, a później pewne drobne kłopoty gospodarskie i rodzinne przeszkodziły pani Krystynie na razie do wyrwania się z wiejskich nudów. Dopiero wojna i najazd Moskali zmusiły ją niejako do porzucenia wsi.

Wyjechała zrazu niezdecydowana, dokąd jechać. W Krakowie zatrzymała się czas jakiś, a następnie udała się do Pragi.

Od dnia wyjazdu ze swoich Zalesinek była w ciągłym ruchu, zawsze w nowem, małoznanem lub nieznanem otoczeniu.

Fala uchodźców porwała ją i uniosła ze sobą, ale uniosła lekko, nie wyrządzając żadnej przykrości. Myśli i uczucia pani Krystyny ślizgały się tylko po wierzchu tej wzburzonej fali.

Majętna wdowa nie odczuwała dotąd żadnych trosk. Usposobienie miała przy najlepszem zresztą sercu lekkomyślne. Wojną nie przejmowała się zbytnio. W szeregi walczących nie wysłała nikogo z najbliższych — była swobodna, niezależna, zdrowa, rozporządzała znacznym kapitałem, uważała się też jeszcze za młodą i przystojną — nic więc dziwnego, że uczuwała wielką ochotę, aby trochę użyć życia.

O majątek była zupełnie spokojna. Wierzyła bowiem niezachwianie, że poczciwy stary rządca Sędziszewski, którego Wolski nazywał zawsze swoją prawą ręką, dopilnuje wszystkiego należycie i ochroni przed zniszczeniem.

Nie pozwalała więc pani Krystyna żadnym smutnym myślom zakłócać swego spokoju i starała się z pobytu w Pradze wyciągnąć jak największą sumę rozrywki i przyjemności.

Gwar i ruch wielkomiejski upajały poprostu panią Krystynę. Teraz, idąc przez „Přikopy“, z wielkiem zainteresowaniem obserwowała tualety pań, porównywując je ze swoim eleganckim, pluszowym, obramowanym skunksami kostyumem — upatrywała wśród tłumu przechodniów znajomych twarzy — brała żywy udział w tem pstrem życiu ulicznem.

Piękne wystawy sklepowe zachwycały ją. Co chwila zatrzymywała się przed jakiemś jasno oświetlonem oknem, wołając:

— Anielko! Popatrz, co za śliczności i jakie tanie! Ta jedwabna bluzka „fraise“ tylko trzydzieści koron. To poprostu za bezcen! A ta seledynowa etamina, coś wspaniałego! No, Anielko, spojrz!... Gdzie ty się patrzysz właściwie?

Anielka zdradzała bardzo mierne zainteresowanie pięknemi wystawami i eleganckiemi tualetami, natomiast z sympatyą i współczuciem śledziła każdą niemal przesuwającą się wśród tłumu postać żołnierską. Niekiedy wytężała wzrok, jakby usiłując rozpoznać znajomą twarz, a zawiódłszy się, wzdychała cicho.

Właśnie pani Krystyna zachwycała się piękną „etaminą“, kiedy siostrzenica pociągnęła ją lekko za rękaw.

— Popatrz, cioclu, żołnierz bez nogi... Pierwszy raz widzę...

Ciotka odwróciła się i przez chwilę przyglądała się posuwającemu się o kulach, inwalidzie... Stra-

ciła jakoś ochotę do oglądania barwnych materyj i poszła dalej, mówiąc z pewną niechęcią:

— Ty zawsze musisz wyszukać coś smutnego, co zepsuje człowiekowi humor.

Anielka chciała coś odpowiedzieć, ale w tej chwili uwagę obu pań zajął dyalog, prowadzony tuż koło nich po polsku. Rozmawiającymi byli dwaj chłopcy, ubraniem i wyglądem zewnętrznym bynajmniej nie dostosowani do eleganckiego tła otoczenia.

— Antek! Jak się masz?!

— Staszek! Servus, brachu! A ty skądeś się tu wziął?

— A ja widzisz zwiałem z Chocania i teraz se chodzę po Pradze.

— 70 halerzy bierzesz?

— Ale, gdzie ci tam! Odebrali mi rządową pensyę za to niby, uważasz, żem dał dymę z Chocania. Chcieli mnie przymknąć, ale wymigałem się.

— No to z czego żyjesz?

— A święty Wincenty mnie żywi!

— Jaki święty Wincenty?

— To jest takie towarzystwo, gdzie som same panie i panny — tam można dostać ubranie, buty, obiad, ale wszystko za kartką! Ale taką kartkę, brachu, to można obić — za kartkę na obiad to „szubę" gotówką dostaniesz. A jakby jaka pani skapowała, żeś kartkę obił, tobyś se som musioł kartkę napisać, ale na taką to figę dostaniesz. A ty tutaj niby co robisz?

— A przyjechałem z matką, nie wiesz to, że mój ojciec przy kolei był? Ale ci mnie matka kiepsko żywi — jeden dzień mamałyga, a w drugi groch albo pęcak i tak jest furt naokoło. A „krwawej" to tu nie kupi tak jak w Krakowie, ino „wirstle" z „horczicą" albo z „krzenem".

— A to co, ta „horczica"?

— A to tak Czechy przezwali musztardę. Ten czeski język to ci dopiero śmieszny. Jak chcesz gadać po tutejszemu, to ino se przekręć po polsku i wal śmiało. A nie gadaj kiełbasa ino „klobasa", nie biała ino „bila", nie czarna ino „czerna" i klawo! Kużdy cię zrozumi! A „szube" masz?

— Mam!

— No to walmy na „wirstle".

Chłopcy zatrzymali się na rogu, gdzie przekupień ustawił swój przenośny piecyk i sprzedawał gorące „würstle".

Pani Krystyna śmiała się szczerze z zasłyszanej rozmowy. Anielka uśmiechała się również, ale po chwili nasunęły się jej widocznie jakieś poważniejsze refleksye, bo, skręcając na „Vaclavské naměsti", rzekła w zamyśleniu:

— Tyle tej naszej, polskiej biedoty błąka się tutaj po praskim bruku! — Ilu z tych naszych uchodźców żyje w największej nędzy lub moralnem zaniedbaniu! A my sobie chodzimy po kawiarniach, teatrach, sklepach, jak gdyby nas to wszystko nic nie obchodziło.

Ciotka żachnęła się obrażona.

— Jakto, może zarzucisz mi teraz, że nie mam serca dla biedaków, że się nad nimi nie lituję?! Czyż usunęłam się choć raz od jakiejś składki, czy odmówiłam kiedy pieniędzy na jakiś cel?!

— Ależ, ciociu, dobrze wiem o tem, że masz złote serce i nigdy nie pożałujesz grosza na dobry cel... Tylko, widzisz, same pieniądze to czasem za mało — tu trzeba jeszcze pracy i energii...

— Moja kochana! Jest tutaj już tyle rozmaitych towarzystw i komitetów, które się temi sprawami zajmują, że się bez nas obejdzie.

— Ja myślę, że rąk do pracy nigdy za wiele...

Zajęte rozmową nie zwracały uwagi na to, że od jakiegoś czasu szedł za niemi, pilnie je obserwując, jakiś żyd z długą, siwą brodą, w mocno wytartym chałacie.

Zatrzymywał się i szedł znowu dalej, jakgdyby wahając się.

Wreszcie zbliżył się do pani Krystyny i zapytał:

— Psiepraszam, to panie są także Polki?

Pani Krystyna spojrzała na przechodnia zdumiona tem pytaniem, odrzekła jednak uprzejmie:

— Tak, jesteśmy Polkami, a o co panu chodzi?

— To może panie są z Rzeszowa?

— Nie, nie jesteśmy z Rzeszowa.

— A ja miszlał, co ja panie poznał... No to szkoda, bo ja jestem z Rzeszowa, a ja się bardzo cieszę, jak ja kogo zobaczę, co un jest także z Rzeszowa... Psiepraszam, bardzo psiepraszam...

Stary żyd pokiwał głową w smętnej zadumie, jakby z ubolewaniem, że tak trudno jest mu spotkać kogoś, ktoby był także z Rzeszowa i powlókł się dalej.

Pani Krystyna wskazała siostrzenicy ręką automat-bar, koło którego właśnie przechodziły.

— Popatrz. Automat w oblężeniu, choć przekąski w nim drogie... Obok do kasy kinematografu cisną się tłumy... Ludziom nie brak pieniędzy, no i ochoty do zabawy. Widzisz więc, że pomimo wojny żyć można i trzeba. Zobaczysz, że i sale pod „Białym Łabędziem" będą przepełnione jak zwykle. To właśnie zachwyca mnie tutaj, ten gwar, ten ruch, to bujne, wartkie życie...

Istotnie, sale parterowej kawiarni pod „Białym Łabędziem" były natłoczone, jak zwykle, w porze podwieczorkowej. Płynęły z nich śpiewną falą tony, granego przez orkiestrę walca z „Cygańskiej miłości":

„Ach! die Liebe macht uns jung,
Ach! die Liebe gibt uns Schwung..."

Pani Krystyna i Anielka skierowały się na drugie piętro, dokąd wskazywał im drogę wielki, biały karton, ozdobiony wizerunkiem orła polskiego, pod którym widniały słowa:

Polskie zebrania towarzyskie
II. piętro.

Weszły.

W obszernej sali kawiarnianej, podzielonej na kilka oddzielnych części, rojno było i gwarno. Salę zalewały kaskady elektrycznego światła, które tu i ówdzie tryskało czasem snopem tęczowych barw. To któraś z pań manewrowała zręcznie rączką, zdobną w cenne pierścionki.

Powietrze było rozgrzane, przesycone zapachem kawy, dymem papierosów i cygar, oparem piwa, potem ciał i wonią perfum.

Na sali rozbrzmiewał język polski. Goście stanowili jakby jedno dobrane towarzystwo. Panie i panienki były strojne, panowie czarno ubrani — zwykły kawiarniany ludek.

Tu i ówdzie tylko szarzała nieokreślonego koloru marynarka, skromna barchanowa czy wełniana bluzka lub odcinał się od barwnego tła niewieściego stroju i czarnych surdutów siwy mundur żołnierski.

Na sali było pełno. Nowi goście z trudem zdobywali miejsce. Rozmowa toczyła się gładko, żywo, swobodnie. Bawiono się. Zgrabny, dobrze opięty i umiejętnie ufryzowany młodzian siedział przy fortepianie i akompaniując sam sobie, śpiewał:

„Młode dziewczę to zieleniak,
Bo zielono w głowie ma,
Każdy łyknie z przyjemnością
Puhar jeden albo dwa!"...

Kelnerzy uwijali się żwawo. Każdego nowoprzybyłego gościa, zaledwo siadł, zapytywali swojem stereotypowem:

— Co si přejete? (Czem mogę służyć?)

Nie pomijali nikogo, nawet tych, którzy lawirowali po sali, aby z uprzejmości kelnerów jak najmniej korzystać.

— Psiakrew! — mruknął jakiś młodzieniec w mocno podniszczonem ubraniu i żalił się przed swoim towarzyszem — Chciałby człowiek chwilkę posiedzieć w cieple, pomiędzy swoimi pogadać po polsku, ale dadzą ci to spokój?! Jeden wyfraczony odejdzie, to drugi ci taki sam następuje na pięty i napastuje swojem: „co se přejecie"... Pewnie, że człowiek z gustemby sobie coś przejadł, gdyby tylko miał za co!... Przecież z tych 70 „haków nowszych", które człowiek pobiera, nie będzie sobie uczty urządzał tutaj, gdzie szklaneczka kawy kosztuje 50, a skrawek ciasta 20 „nowszych". Ze też nie można codziennie spotkać się ze swoimi, jak tylko w kawiarni i to takiej drogiej... Nie wiesz, Wacek, o jakiej lekcyi albo o jakiemkolwiek innem zajęciu?

— Dyabli tam! Zebym wiedział, tobym sam wziął! Mógłby sobie człowiek wtedy choć raz na tydzień podjeść do syta!

— Patrz no!... Te napewno nie są głodne!... O! Jak to wystrojona ta starsza!...

Młodzieniec wskazał towarzyszowi spojrzeniem wchodzące do sali dwie kobiety. Były to pani Krystyna i Anielka. Na ich powitanie zerwało się dwóch panów, siedzących na przeciwległych końcach sali. Jeden z nich, starszy już mężczyzna z rudawą hiszpańską bródką i zielonawo połyskującemi oczyma o spojrzeniu bystrem i przenikliwem, wyprzedził swojego towarzysza, anemicznego młodzieńca, o ruchach tak powolnych i leniwych, że odrazu odgadnąć można było, że temu się nigdy i nigdzie nie spieszy. Było to jaskrawe przeciwieństwo do pana z rudawą bródką, który ze zwinnością kota prześliznął się wśród stolików i znalazł się przy wchodzących. Kłaniając się, wyrzucił ze siebie jednym tchem:

— Całuję rączki! Moje uszanowanie! Od godziny ochraniam stolik dla pań, bronię go jak mogę, no i udało mi się go zarezerwować... Doskonały stoliczek tam na lewo... Wyśmienity punkt obserwacyjny, widać stamtąd całą salę...

— Bardzo panu jesteśmy wdzięczne... — zaczęła pani Krystyna, ale nie zdołała dokończyć, bo przerwał jej anemiczny młodzieniec, który już teraz zdołał wydostać się z pośród labiryntu krzeseł i stolików.

— Rączki całuję! Najniższe uszanowanie! Panie tak późno!... Czekam, o mało sobie oczu nie wypatrzę, a pań niema i niema!... Zatrzymałem z trudem, z wielkim trudem stolik, ot tam na prawo pod ścianą... Zaciszny kącik...

— Pan Koncewicz zapomina — wtrącił rudawy pan, pogardliwem spojrzeniem mierząc młodzieńca — że ten jego zaciszny kącik znajduje się zbyt blizko okna i wentylatora... Czy chce pan narazić panie na zaziębienie?

— O! o! Proszę pana, panie Potyrowski — bronił się z irytacyą zaczepiony — zato o pański stolik musi zawadzić każdy przechodzący kelner łokciem. Nie wiem, czyby to było paniom przyjemnie.

— Ależ, moi panowie, niema się doprawdy o co sprzeczać! — rozstrzygnęła spór pani Krystyna — Dziękujemy wam obu za starania i troskliwość, a zdecydujemy się chyba na stolik pana Potyrowskiego, bo istotnie chcę coś zobaczyć. Sądzę, że pan Koncewicz nie odmówi nam również swego towarzystwa.

— Jeżeli tylko panie pozwolą.

Koncewicz rzucił niezbyt przychylne spojrzenie na pana Potyrowskiego, ale podążył za paniami w kierunku jego stolika.

Towarzystwo usadowiło się. Pan Potyrowski zajął skwapliwie miejsce obok pani Krystyny, rzucił okiem po sali i skonstatował, że w stronę jego stolika skierowało się kilkanaście par ciekawych oczu. Rad był z tego wielce, bo przekonał się, że przybycie pań, mało dotąd znanych, wywołało zaciekawienie.

— Kto to może być — szeptano przy jednym z dalszych stolików — Chyba nie matka z córką, bo niepodobne do siebie i panna, jak na córkę, ubrana trochę za skromnie...

Pani Krystyna Wolska rzuciła także na salę kilka krótkich, dyskretnie maskowanych obojętnością spojrzeń. Na twarz jej wystąpiły pod lekką warstwą pudru, rumieńce. Wywołała je drażniąca atmosfera kawiarniana i wewnętrzne zadowolenie, jakie poczynało ogarniać żądną rozrywek wdowę.

Ten rozgwar półszeptów był dla niej dawno upragnioną melodyą. O takiej atmosferze kawiarnianej marzyła nieraz, oddychając świeżem, przesyconem wonią polnych ziół i kwiatów powietrzem lasów zalesińskich.

— Jak tu gwarno, jasno, wesoło — mówiła pani Krystyna do Potyrowskiego — szkoda tylko, że tak mało znam osób...

— Ależ, pani dobrodziejko, to bagatelka... Ja służę wszelkiemi informacyami. — ofiarował się Potyrowski — Mam szerokie znajomości w towarzystwie, które się tutaj zbiera.

Istotnie Alfred Jerzy Jan Potyra-Potyrowski, (tak bowiem opiewał jego bilet wizytowy) zdawał się znać wszystkich z towarzystwa, zbierającego się „pod Białym Łabędziem" i o każdej prawie osobie mógł opowiedzieć jakąś ploteczkę, czy historyjkę mniej lub więcej ciekawą.

Jako przewodnik i informator, był nieocenionym dla pani Krystyny, interesującej się żywo mało znanem jej jeszcze towarzystwem.

— O, ten poważny pan z siwą brodą — zaczął Potyrowski — to figura tutaj... To człowiek zasług, działa wiele...

— Doprawdy? — zdziwiła się pani Krystyna — Nigdybym nie przypuściła. Taką ma małointeligentną, powiedziałabym drewnianą minę.

Potyrowski spojrzał zdumiony, widocznie zaskoczony uwagą pani Krystyny, ale po chwili począł pospiesznie przyznawać jej racyę.

— Tak! tak... Prawda!... To samo chciałem powiedzieć... Człowiek ten ma istotnie tępą fizyognomię... O! z pani dobrodziejki doskonała fizyognomistka, że tak za jednem spojrzeniem umie określić krótko a dobitnie człowieka!... Pani dobrodziejka musi dobrze znać ludzi, co w tak młodym wieku pani jest istotnie zdumiewające.

— A kto jest ta pani? — przerwała pani Krystyna ten potok pochwał, których słuchała jednak z zadowoleniem (podziw Potyrowskiego i jego słowa o młodym wieku mile połechtały jej próżność kobiecą) — ta pani w czarnej, jedwabnej bluzce z koronkowym kołnierzem? Bardzo ładna i gustownie ubrana.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kompania rekonwalescentów „krakowskich dzieci“.

W jednej z uroczych wiosek, położonych obok górskiego miasta, gdzie obecnie znajduje się kadra 13. pułku piechoty, kwateruje obecnie kompania rekonwalescentów tegoż pułku. Lepszej siedziby dla ludzi chorych i potrzebujących wypoczynku wyobrazić sobie nie można; okolica cała zdobna zielenią i lasami, a tuż obok płynie rozlewną falą wspaniała rzeka. To też znajdujący się w tej kompanii żołnierze zażywają przyjemności górskich w całej pełni; niema dnia, by nie było zbiorowej wycieczki do jednego z poblizkich szczytów, lasów lub nad wspaniała rzekę.

Funkcye komendanta tej kompanii pełni nadporucznik Kern; zastępcą jego jest profesor gimnazyum bocheńskiego i znany literat, p. Józef Kantor. Obok nich — jak to na fotografii widzimy — siedzą: chorąży-medyk, dr. Henryk Jacob, kadet rezerwowy, świeżo odznaczony srebrnym medalem waleczności II. klasy, p. Władysław Sliwa i również medalami odznaczeni sierżanci Feniger i Blatoń.

W tejże kompanii znajduje się kilku przedstawicieli literatury. Służą tutaj: autor „Królowej przedmieścia“, Konstanty Krumłowski, redaktor „Dyabła“, Władysław Borkowski i autor „Bohaterów“ i „Śpiewek żołnierskich“, Leopold Kronenberg.



Tradycyjna szopka krakowska w Zakopanem: Wykonawcy szopki: pp. Z Trojanowski, S. Kamocki, J Mierzejewski, A. Pronaszko, Z. Pronaszko, K Wąsowicz.

Odsłonięcie „Rycerza w zbroi“ we Lwowie.

(Do illustracyi na str. 3).

W ubiegłą niedzielę odbyło się we Lwowie uroczyste odsłonięcie „Rycerza w zbroi“, dłuta artysty-rzeźbiarza p. Nalborczyka. W uroczystości wzięli udział przedstawiciele duchowieństwa wszystkich obrządków, zastępcy władz wojskowych, państwowych i autonomicznych, konsulowie niemiecki i argentyński, korporacye oraz tłumy publiczności.

Cesarza reprezentował w zastępstwie chorego namiestnika, jenerała Collarda, komendant miasta Lwowa, jenerał major Riml.

Podczas jego przybycia muzyka zaintonowała hymn ludów, a komisarz rządowy, starosta Grabowski, wygłosił przemowę z prośbą o wyrażenie u stóp tronu podzięki miasta Lwowa za delegowanie zastępcy Cesarza. Po odpowiedzi jenerała Rimla opadła zasłona i rozpoczęło się wbijanie gwoździ. Pierwszy gwóźdź imieniem Cesarza wbił jenerał Riml. Podczas uroczystości krążyły nad głowami zebranych trzy samoloty.

O godzinie piątej w pięknie przystrojonych salach ratusza odbył się galowy koncert na dochód „Rycerza“. Poszczególne punkty programu wykonali pp. Bohuss-Hellerowa, Korolewicz-Waydowa, Ada Sari Schayerówna, Ottawowa, Jarosław Kocian, Bedlewicz, Okoński i Łowczyński. Koncert wypadł wspaniale, publiczność wypełniła salę po brzegi.

Wstępem do uroczystości odsłonięcia było sobotnie przedstawienie „Cyrulika sewilskiego“ w teatrze miejskim, poprzedzone odśpiewaniem hymnu ludowego.

Ze względu na szlachetny cel, na jaki przeznaczono dochód z wbijanych gwoździ, bo na cele opieki wojennej, Rada przyboczna miasta Lwowa uchwaliła pokryć koszta dokonanych robót w sumie pięciu tysięcy koron z funduszów gminnych, nadto w gotówce złożyła dwa tysiące koron.

W dniu uroczystości miasto było uroczyście udekorowane.



Występy Leona Wyrwicza: Leon Wyrwicz

Na wschodnim froncie.

Pomimo zapowiadanej oddawna wielkiej wiosennej ofenzywy rosyjskiej i rozpoczętych już gwałtownych ataków, zapanował na wschodnim froncie pewien zastój. Gwałtowne szturmy rosyjskie, rozpoczęte na północy i południu frontu wschodniego rozbiły się o silną postawę wojsk sprzymierzonych, które wszędzie utrzymały się na swych pozycyach, zadając nieprzyjacielowi znaczne straty. Rosyanie przekonali się jeszcze raz o bezcelowości swych wysiłków, zmierzających do przełamania frontu wschodniego i zaniechali na razie gwałtownych ataków. Nie ulega jednak wątpliwości, że po zebraniu nowych sił, nie omieszkają znowu spróbować szczęścia, choć są to tylko daremne wysiłki. Po doświadczeniach dwudziestu miesięcy wojny, armie sprzymierzone miały dość czasu i sposobów, aby uczynić z swych pozycyi, na których stoją nieprzerwanie od kilku miesięcy, niezdobyte twierdze... Olbrzymi, ciągnący się od Bałtyku aż do Bessarabii, front — to jakby jedno podziemne miasto, uzbrojone we wszystko, co wymyśliła współczesna technika wojskowa, a zaopatrzone we wszystko, co jest niezbędne dla żołnierza...

Z życia w tych ufortyfikowanych obozach na wschodnim froncie zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg illustracyi.



Tradycyjna szopka krakowska w Zakopanem: Grupa figur.

Nasza nowa powieść.

W dzisiejszym numerze rozpoczynamy druk nowej, **związanej z wypadkami chwili obecnej** powieści młodego, lecz wielce obiecującego autora

p. Adama Wiarygi-Miniewskiego

pod tytułem:

„Miłość i wojna“.

Nie wątpimy, że powieść ta, zarówno na swą aktualność, jak i ciekawą, pełną charakterystycznych momentów akcyę, zainteresuje naszych Czytelników.

Rozpoczętą w poprzednim numerze tłumaczoną powieść p. t.: „Czarna Księżniczka“, musieliśmy z przyczyn od nas niezależnych przerwać.

Kronika tygodniowa.

I ani się spostrzegłem, a tu minęła już pierwsza połowa postu. Ponieważ przez cały ten czas wstrzymywałem się od jedzenia, a częściowo i od picia, czyli obserwowałem przepisy kościelne i magistrackie, mogę powiedzieć o sobie słowami poety „opadłem z ciała, cały ledwie dyszę". Aby się o tem namacalnie przekonać, wybrałem się na dworzec kolejowy, gdzie się znajduje waga automatyczna i tu ku wielkiemu memu przerażeniu skonstatowałem, iż jestem tak lekki, że skazówka na zegarze wagowym ani drgnie, dopóki do odpowiedniej dziurki nie wrzucę trzech centów.

Wrzuciłem, choć mi żal było, bo teraz trudno o drobne się wystarać, nie mówiąc już o grubych i dowiedziałem się, że w tym okresie straciłem około dwudziestu kilogramów żywej wagi, co obliczone według cennika pana Bialika lub Kurkiewicza, przedstawia bardzo poważną kwotę, o którą czuję się być pokrzywdzonym i po skończeniu szczęśliwem wojny zażądam za to odpowiedniego odszkodowania. Tak samo radzę postąpić każdemu z Czytelników. Trzeba się jednak spieszyć, według bowiem informacyi, jakie otrzymałem na własnym drucie z różnych stron Europy, pokój zbliża się już wielkimi krokami.

Nie jest przecież wykluczonem, iż tymczasem będę się starał wrócić do normalnej wagi, choć Weronisia powiada, że teraz wyglądam więcej eterycznie, więc i interesująco. Zwłaszcza zabiły mi do głowy klina święta Wielkanocne, które są przeznaczone na to, by przeciętny obywatel objadł i opił się należycie i to możliwie nie za swoje pieniądze. Ponieważ zaś takie gwałtowne przeładowanie żołądka po wielkim a rzetelnie przeprowadzonym poście mogłoby być dla zdrowia szkodliwem, zaczynam się powoli trenować w tym kierunku, to jest zrywam z głodomorstwem i znów to samo radzę robić Czytelnikom, którzy te święta chcą należycie obchodzić.

Jeśliby, który z Czytelników lub która z Czytelniczek chcieli mnie (w co nie wątpię) zaprosić na święcone, proszę o wczesne składanie ofert, należałoby bowiem tak swój czas podzielić, by nikogo nie obrazić i każdemu zaproszeniu zadość uczynić. Ja do siebie nie proszę nikogo, gdyż zmuszony byłem okolicznościami do daleko idących oszczędności w budżecie domowym, wobec czego staropolska gościnność musi w tym roku pójść na kołek.

Tyle jest słów przeznaczonych jako wstęp do tej śródopostnej kroniki, teraz muszę przystąpić do właściwej rzeczy, to jest do omówienia związku między wojną i modami, na czem się wprawdzie nie znam, ale o czem pisać mogę, gdyż papier jest cierpliwy, a i Czytelnicy także.

Płci nadobnej należy się pierwsze miejsce, zaczynam więc od dam.

Wyczytałem w jednym bardzo poważnym organie, którego egzemplarz kupuję codziennie rano za ośm halerzy, by wiedzieć, co słychać w szerokim świecie, iż pewien komendant któregoś tam korpusu niemieckiego wydał odezwę do pań w swym okręgu, wzywając je, by się wystrzegały sprawiania sobie szerokich i bufiastych sukien, co zaś w ten sposób oszczędzą, by obracały na cele ogólnej potrzeby. Głos ten uważam za bardzo na miejscu i powtórzyłbym go pod adresem naszych pań, gdybym jednak wiedział, że się to zda na coś. Po pierwsze bowiem żadna mnie usłuchać nie zechce, gdyż już prababka nasza, Ewa, dała dowód, że zakazany owoc najlepiej smakuje, po drugie zaś wiemy z doświadczenia własnego, iż suknia damska, taka, co to u góry jest mało, u dołu jeszcze mniej, a i w środku niewiele, kosztuje właśnie najwięcej. Doszło przecież do tego, że dziś kompletnie gotową damską tualetę można bardzo wygodnie zapakować do zwykłej koperty listowej, cena zaś za nią jest daleko wyższą, niż za największej rozpiętości ś. p. krynolinę, w której dziś przez niejedną z krakowskich ulic przejść w żaden sposób by się nie udało.

Ja zaproponowałbym co innego, mianowicie wprowadzenie i tutaj taryfy maksymalnej, na podstawie której za kapelusz damski lub suknię, albo jakieś inne okrycie, możnaby zapłacić najwyżej tyle a tyle, kto zaś taryfy nie przestrzega, pociągniętym zostaje do odpowiedzialności. Suknia ulega konfiskacie, ponadto zaś winny lub winna skazaną będzie na złożenie takiej samej kwoty w gotówce na rzecz ofiar wojny. Dwukrotne przekroczenie taryfy wykluczałoby nadto winowajczynię od możności korzystania z tegorocznej mody, co, jestem pewnym, miałoby ten skutek, iż nasze panie przestałyby bodaj we wojennym czasie wydawać bajońskie sumy na różne fatałaszki, zwłaszcza, że pieniądze za nie nie zostają w kraju, ale wędrują za granicę i wypychają i tak już pełne kieszenie naszych wrogów.

Czy projekt mój się przyjmie, czy nie (w każdym razie wiem, że się paniom nie spodoba!), zrobiłem swoje i lżej mi wobec tego na sercu. Weronisię już przekonałem, że w sukni z tamtego roku (sprawiła ją sobie przed pięciu laty) jest jej i z przodu i z tyłu zupełnie do twarzy, dała mi też spokój i nie upomina się o nowy kostyum wiosenny, choć do niedawna tylko o nim mówiła, a nawet i śniła.

Wytłumaczyłem jej, że „sen mara, Bóg wiara", a sam Pan Bóg gniewa się, gdy kobieta zanadto zaprząta sobie głowę wymysłami mody, jak to mieliśmy sposobność przekonać się na Ewie, którą z raju wyewakuowano, gdy zamiast zająć się gospodarstwem domowem, zaczęła przymierzać różne listki i przyglądać się w zwierciadle wody, czy jej w nich do twarzy. Los jej podzielił i Adam, jako że był zeń pantofel, który żonie na wszystko pozwalał.

Niechaj więc każda niewiasta los swej prababki Ewy ma ciągle na myśli, a uchroni ją to od wielu nieprzyjemności, z nią zaś razem i tych, którzy jej sercu powinni być drodzy.

Teraz zaś kolej na płeć tak zwaną brzydką.

Dawniej bardzo ulubionem nakryciem głowy największych elegantów był cylinder, zwany inaczej rurą lub szabaśnikiem. Dziś wyszedł już prawie zupełnie z mody, noszą go na swych głowach tylko ci, którzy otrzymali go po kimś w spadku, dość często spotykamy go też i na Kaźmierzu, którego obywatele wiedzą, co dobre i praktyczne i umieją to należycie ocenić.

Otóż temu to cylindrowi, który dziś stracił swe prawo obywatelstwa, choć na to nie zasłużył, boć nawet i po swem najdłuższem życiu mógł być jeszcze użyty bodajby w spiżarni, wypełniony sieczką, jako doskonały schowek na jaja, pragnę poświęcić słów kilkoro.

I znów musimy się przenieść myślą do Niemiec, gdzie cylindry również prawie poszły w zapomnienie. Tu jeno i ówdzie zdobią głowy starszych osobników, pamiętających jeszcze krynoliny, albowiem wiedzieć trzeba, że właśnie okres królowania cylindra schodził się z czasem największego rozkwitu tej tak hygienicznej, choć może nie tak ładnej sukni.

W jednem z miast niemieckich zauważono w tym właśnie czasie, że moda cylindrowa zaczyna wracać i to tak pospiesznym krokiem, iż zdziwiło to niejednego i niejedną. W cylindrach zaczęli się pokazywać mieszczanie, w cylindrach chodzili i wieśniacy z gmin okolicznych. Zdawało się, że ludzie siłą się nadać im jak najpotworniejsze kształty, o jakich się nawet pradziadkom naszym nie śniło, a wiadomo, że ich cylindry przypominały nieraz kominy fabryczne.

Ale szydło wylazło z worka prędzej nawet, niż się spodziewano.

Zdarzyło się raz, że pewnemu jegomości spadł cylinder... I cóż się pokazało?... Wewnątrz kryła się kontrabanda, to jest masło, które bez opłaty przenosił przez rogatki miejskie! Połapano się po niewczasie i rozpoczęła się nagonka za cylindrowcami... Władza zrozumiała, skąd się wzięła nowa moda i rzuciła klątwę na cylinder, który znowu powędrował gdzieś do szafy, by czekać na lepsze czasy.

Cylindrowi to przecież nie ubliża, owszem w jego historyi stanowić będzie jedną z piękniejszych kartek i może zachęci ludność i innych miast do wprowadzenia znowu tego poważnego nakrycia głowy, choć władze, zwłaszcza skarbowe, na cylinder patrzeć będą teraz podejrzliwym wzrokiem, wietrząc pod nim kontrabandę. Ale niech to cylindrowców nie zraża! Gdzież kontrabanda się już nie kryła?!... Wszak przez graniczne rogatki przenosiły ją ongi panie w swych turniurach, a kto wie, czy z czasem i ta moda nie wróci?

Zważywszy zaś, że cylinder stosunkowo nie jest drogi, wygląda bardzo poważnie na głowie obywatela, choćby on nawet nie miał kamienicy, nie ulega zbytnio wahaniom mody i łatwo daje się doprowadzić do stanu świeżości, orzec można bez wahania, że na obecne czasy jest to bardzo praktyczna rzecz i warto do niej wrócić, choćby już tylko ze względu na aprowizacyę miasta. Będą cię tam celnicy prześladować, to mniejsza, cylinder odda nieocenione przysługi i zdobędzie sobie, właśnie dzięki wojnie, to znaczenie, jakie miał, ale już stracił. Kto wie, czy i ja sam nie zaciągnę się pod sztandary cylindrowców, dla miłości jednak samego cylindra, a nie ukrytej pod nim kontrabandy.

Bo i cóż mógłbym pod nim szwarcować? Masła w każdym razie nie, roztopiłoby się bowiem od gorąca, jakie bije z mej łysiny.

Do mody zaliczyć muszę także i to, co następuje.

Onegdaj jadę sobie powoli tramwajem, obok mnie siedzą dwie panie, paplą po francusku i spoglądają z góry na „hołotę", bacznie uważając, czy też to robi na niej wrażenie. Myślałem w pierwszej chwili, że może obie z nich, albo bodaj jedna jest Francuzką i po polsku nie umie, z rozmowy ich jednak z konduktorką przekonałem się, że obie są rodowitemi Polkami, po polsku mówią stanowczo lepiej, niż po francusku, a francuzczyzny używają tylko dla nadania sobie tonu.

Żal mi się ich zrobiło, chciałem zwrócić ich uwagę na to, że mowa ojczysta jest największym skarbem, dałem sobie jednak spokój, pomyślałem tylko: „Przebacz im Panie, albowiem nie wiedzą, co czynią!"... Głupców siać nie trzeba, rodzą się sami — powiedział ktoś i miał racyę. Dama, używająca bardzo lichej francuzczyzny dla nadania sobie tonu, wywołuje na usta słuchającego tylko uśmiech politowania i nic więcej, co zaś najważniejsze, w czasie wojny z Francuzami może się narazić na grube nieprzyjemności.

Nie tak dawno temu do wozu tramwajowego siadła też taka domorosła Francuzka, która tak gwałtownie chciała naśladować rodowitą Paryżankę i tak się mozoliła nad złem wymawianiem litery „r", iż zlitował się nad nią jej sąsiad i rzekł z flegmą:

— Wypluj pani, bo się pani tem „r" może łatwo udławić!...

Spojrzała nań okiem bazyliszka i nie odpowiedziała nic, odtąd używała przecież tylko polskiego języka, ale z trochę wschodnim akcentem.

Niechaj tych kilka słów będzie ostrzeżeniem dla niektórych osobników, które samochcąc tylko się ośmieszają i stanowią żywą illustracyę do słów poety: „Pawiem narodów byłaś i papugą".

A byłby już czas, by z tego nareszcie wyrość!

Mieliśmy też w tym czasokresie i dzień pierwszego kwietnia, czyli tak zwanego zwodziciela. Dawniej, gdy ludzie przez cały rok mówili prawdę, a łgali tylko w tym jedynym dniu, miał *Prima Aprilis* swój urok. Dziś zmieniło się o tyle, że przez rok cały nikt się o prawdę nie troszczy, w oczy mówi co innego, co innego zaś poza oczyma, obgaduje bliźniego, nie zostawiając na nim suchej nitki, na każdym kroku starając się wziąć go na kawał, czyli, że przez dni trzysta sześćdziesiąt pięć lub sześć w roku mamy *Prima Aprilis*.

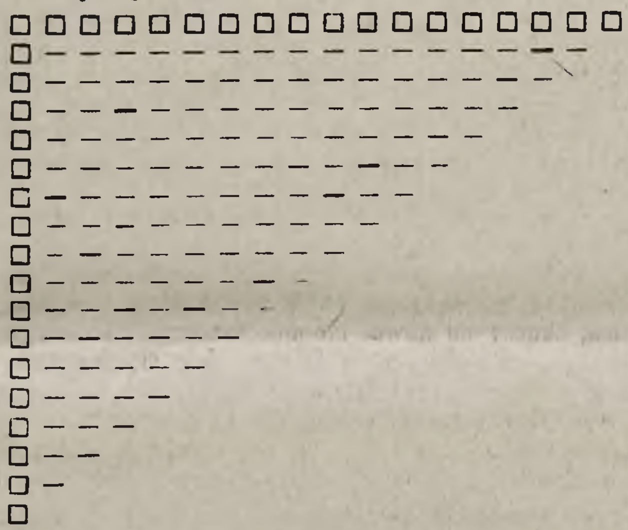
Wyjątkowo w r. b. otrzymałem tylko jeden list *prima-aprilisowy* i to od jakiejś niewiasty, skąd zaś nie wiem, marka nosi bowiem stampilię „Feldpost Nr. 186". Pokpiwa sobie w nim ze mnie, ale ja jej przebaczam, albowiem „nie wie, co czyni".

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył E Winter, Stanisławów.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię, przydomek i nazwisko byłego dowódcy Legionów polskich.



Znaczenie wyrazów: 1. Sznkany wyraz. 2 Nazwisko i imię jednego z współczesnych polskich polityków. 3. Powrót do zdrowia. 4 Nazwisko i imię polskiej powieściopisarki. 5. Nazwisko i imię polskiego historyka. 6 Część geometryi. 7 Jedna ze sztuk pięknych. 8 Miasto w Galicyi Wschodniej. 9 Polityk i wódz ateński. 10 Imię męskie. 11 Pustynia w Afryce. 12. Dowódca floty. 13. Nauczyciel na uniwersytecie. 14 Osłona lampy. 15 Część ciała. 16. Rzeka w Galicyi. 17 Przyimek. 18. Samogłoska.

Równanie.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiej powieściopisarki, w drugiem jej imię. w trzeciem tytuł jej utworu

$$\frac{a}{3} + \frac{b}{4} + \frac{c}{3} + \frac{d}{2} = x.$$

$$\frac{e}{3} + \frac{f}{4} + \frac{g}{4} = y.$$

$$\frac{h}{3} + \frac{i}{5} + \frac{j}{2} = z.$$

Znaczenie wyrazów: a) Tłuszcz. b) Powieściopisarz polski c) Kraj w Europie d) Wyspa azyatycka. e) Kraj w południowej Ameryce. f) Odmiana krokodyla. g) Więzienie h) Rodzaj okrętu. i) Kara dyscyplinarna. j) Tytuł rodowy.

Szarada.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Pierwsze, to w Austryi jest wielka rzeka,
Wilson zaś *drugie-czwarte* wysyła,
Trzecie i czwarte rzecz bardzo miła,
Lecz ma tę wadę, prędko ucieka.
Całość, to imię kilku papieży,
Lecz już z nich każdy dziś w grobie leży.

Łamigłówka wojenna.

Ułożył E. Winter, Stanisławów.

Z każdego wyrazu, wyjąć idąc z góry na dół, po jednej literze i ułożyć z nich imię, przydomek i nazwisko osobistości, należącej do sztabu Legionów polskich.

Galwitz
Piłsudski
Bothmer
Hindenburg
Arz
Ziegler
Szurmay
Georgi
Kövess
Bolfras
Hazai
Puhallo
Hans
Krobatin
Böhm-Ermolli
Boroević von Bojna
Pflanzer-Baltin
Hötzendorf
Dankl
Lloyd George
Radosławów
Durski
Linsingen
Mackensen
Belina.

Kwadrat magiczny.

Ułożył St. Danecki, Przerów.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	a
a	a	a	a
b	b	b	d
d	m	r	r

Znaczenie wyrazów: 1 Rzeka w zachodniej Galicyi. 2. Miasto na Węgrzech. 3 Istota rodzaju żeńskiego. 4 Imię męskie.

Zadanie do przestawiania.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć znaną polską maksymę:

Irys biały! Na chórze słój cię dopadnie, Mincię zapomnij. Oro Obęrop.

Bilety wizytowe.

Ułożył Szczerbiec z Wawelu.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód, poszczególnych osób.

IGOR SANTA

N. ZIMECKI.

R. WALD

C. WESZ.

T. Z CAR.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 13.

Grzebieniówka:

J	a	n	u	s	z	a	j	t	i	a
a		o		a		n		o		e
n		r		i		d		r		m
s		y		n		r		r		i
e		m		t		o		i		r
n		b		s		m		c		a
i		e		i		a		e		m
ś		r		m		c		l		i
c		g		o		h		l		d
i		a		n		a		i		a

Łamigłówka wojenna: Władysław Belina Prażmowski.

Szarada: Aeroplany

Trójkąt magiczny:

E	l	l	e	n	K	e	y
L	u	d	m	i	ł	a	
L	e	s	z	e	k		
E	m	a	u	s			
N	e	r	o				
K	o	s					
E	j						
Y							

Zadanie do przestawienia: W starym piecu dyabeł pali.

Logogryf:

A	g	a	t
A	d	a	m
a	t	a	k
p	r	o	m
E	n	n	s
n	ł	a	n
a	p	e	l
i	g	ł	a
h	e	ł	m
u	c	h	o
R	a	w	a

Zadania do przestawienia: Nie zawsze w środę Piotra.

Szarada: Granaty.

Bilety wizytowe: Zadobrówka Toporowce. Dobronowce. Rokitna Mołotków.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Koznbski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor.-Ostrawa, S Grodzicki Praga, L. Kowalski Praga, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów, S. Bednarski Przemyśl, R. Jędrzejowski Czerniowce, L. Kozłowski Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **D. Engelberg, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

W kłopocie.

Do dyrektorki szkoły żeńskiej zgłosiła się pewna obywatelka ze skargą, iż uczenice obrabowały cały jej ogród z kwiatów.

— Doprawdy, nie wiem sama, co mam teraz zrobić — rzecze czcigodna dama po wysłuchaniu sprawy — czy mam je ukarać za splądrowanie ogrodu, czy też pochwalić, panienki wówczas urządzały „święto kwiatka" na dochód miejscowej ochronki!...

Przezorna.

Pani Rebeka została w Zakopanem doszczętnie okradziona. Zabrano jej gotówkę i kosztowności, zatelegrafowała więc po męża do Krakowa, aby natychmiast przybył.

Gdy znalazł się już na miejscu i dowiedział o przebiegu zajścia, zapytał, dlaczego nie krzyczała, byłby ktoś przecież przyszedł z pomocą.

— Idź, ty głupi! — odparła z oburzeniem. — Jak ja mogłam krzyczeć? Złodziej byłby wówczas zobaczył złote plomby w moich zębach i byłby je także zabrał!...

Praktyczny.

Panna Zosia: Wiesz, mój kotku, że mama zaczyna mnie podejrzywać, że ja nie tylko z powodu bólu zębów cię odwiedzam... Doradź mi, co mam począć w tym wypadku?

Dentysta: Nie rób sobie nic z tego! Pozostaw to już mnie! Jutro poszlę twym rodzicom rachunek, to z pewnością uwierzą!...

To straszne!

— Moje współczucie, hrabio! Słyszałem, iż syn pański zginął w czasie ostatniej katastrofy kolejowej?

— Tak jest! Wyobraź pan sobie jednak, co za nieszczęście... Zwłoki jego znaleziono w przedziale trzeciej klasy!...

3

(Do kaszlu) i chrypki skłonne są tylko osoby, które nie mają żadnego zrozumienia dla pielęgnacyi gardła. Konieczną jest rzeczą codziennie przepłukiwać usta i gardło rozcieńczonym Fellera fluidem z esencyi roślin z marką „Elza". Te orzeźwające desynfekcyonujące i sprawiające ulgę przepłukiwania nsuwają nie tylko szkodliwe działanie kurzu, dymu i wdychanych zarodków chorobotwórczych, lecz one wzmacniają także błony śluzowe gardła i czynią je więcej zahartowanemi przeciw działaniu zimnego powietrza. Kto Fellera fluidu roślinnego w ten sposób używa, chroni się najlepiej przeciw kaszlowi i chrypce. Przepłukiwania te działają również odflegmiająco, ułatwiają wyrzucanie flegmy i uśmierzają ból. 12 flaszek tego wypróbowanego środka domowego posyła wszędzie franko tylko za 6 koron aptekarz E. V. FELLER, Stubica, plac Elzy Nr. 127 (Kroacya). Kto cierpi na zatwardzenie ten niechaj użyje Fellera łagodnie przeczyszczających pigułek rumbarbarowych z marką „Elza", które można równocześnie zamówić. 6 pudek kosztuje franko 4 kor. 40 hal. Podniecają one apetyt, ułatwiają trawienie i należy im dać pierwszeństwo przed wszystkimi drażniącymi (i wskutek tego kiszki osłabiającymi) środkami przeczyszczającymi. Cieszylibyśmy się, gdyby nasi Czytelnicy z tych wskazówek korzystali. Fellera preparaty „Elza" są powszechnie wychwalane. *(f)*

Potrzebny uczeń do drukarni i kliszarni Nowości Illustrowanych

Potrzebny zaraz trawiacz do Nowości Illustrowanych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego